



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

MAJ - CZERWIEC
1996

3 (32) 1996

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



Monika Górecka -15-letnia zdobywczyni
I nagrody IV Ogólnopolskiego Dziecięcego
Festiwalu Piosenki Lwowskiej w Lesznie
21.IV.1996r. Reprezentantka zespołu
Towarzystwa Przyjaciół Dzieci Uzdolnionych
Artystycznie "Nona" we Wrocławiu.

fol. Sławomir Skrobała

DANUTA NESPIAK	
Spadliśmy z nieba w 1918 roku.....	1
JERZY MASIOR	
Ja wiem, że One czekają	3
WŁADYSŁAW ŚLEDZIŃSKI (WOJCIECH MYŚLENICKI)	
Konspiracyjne kariery	5
JANINA NUCKOWSKA	
Wiersze: „Pioluny”, „Step”	10
BOŻENA ZAWIRSKA	
Gimnazjum brzeżańskie w latach 1806-1939	10
CZESŁAW E. BLICHARSKI	
Prawda i legenda.....	13
GRZEGORZ HRYCIUK	
Gazeta Lwowska w latach 1941-1944	16
ANDRZEJ PŁĘS	
Na Bugu kończy się Europa.....	19
ADAM WARTALSKI	
Jazłowiec – zarys dziejów miasta.....	21
HENRYK OGONOWSKI	
Czabarówka na Podolu – losy mieszkańców 1939-45	26
Ks. JÓZEF WOLCZAŃSKI	
Profesor Władysław Szymonowicz (1869-1939) – biografia naukowa	30
Z lwowskiego lamusa	34
JANUSZ RAGANKIEWICZ	
Kapliczka	35
ZBIGNIEW UMAŃSKI	
Wczoraj-dziś-jutro. Notatnik kresowy	36
DANUTA KRUPSKA	
Wrocławski chór „Harfa” we Lwowie.....	38
DANUTA NESPIAK	
IV Ogólnopolski Dziecięcy Festiwal Piosenki Lwowskiej w Lesznie	40
Nasi Czytelnicy piszą	41
Od redakcji	42
HENRYK ANTONI HRANKOWSKI	
SOS dla kościoła w Husiatynie	42
Informacja	44
Apele	44

Redaguje Zespół w składzie: Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMINSKI, Jerzy KOPACZ, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Danuta TABIŃSKA-JUHASZ, Zbigniew UMAŃSKI

Redakcja: Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI – redaktor naczelny, Jerzy PETRYŃSKI

Redakcja techniczna: Franciszek BORKOWSKI, Małgorzata WANKE-JAKUBOWSKA, Maria WANKE-JERIE

Adres Redakcji: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33 I p., skr. poczt. 1042 Wrocław 2, tel. 44-88-93

Wydawca: Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS”: Jan AKIELASZEK, Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMINSKI, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Karol STANIUK, Jan ZIEMBICKI

Konto Fundacji „Semper Fidelis”: PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-123-3

Prezes Fundacji: Danuta TABIŃSKA-JUHASZ

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Autorów piszących na komputerze prosimy o nadsyłanie dyskietek. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Spadliśmy z nieba w 1918 roku

Danuta Nespiak

Słynny włoski uczony, pisarz, erudyta wielkiej klasy Umberto Eco popularny jest w Polsce przede wszystkim dzięki swojej sfilmowanej powieści „Imię Róży”. Środowisko ludzi czytających zna go z tłumaczonych w Polsce jego prac naukowych takich jak: „Dzieło otwarte”, „Sztuka i piękno w średniowieczu”, a z powieści: „Wahadło Foucaulta” i „Wyspa dnia poprzedniego”. Umberto Eco odwiedził w lutym br. Polskę i Warszawska Akademia Sztuk Pięknych nadała mu doktorat honoris causa. W marcu Gazeta Wyborcza poinformowała, że po wizycie Eco przyjeżdża do Warszawy jeden z najciekawszych pisarzy europejskich Ukrainiec Jurij Andruchowycz. W tejże gazecie Piotr Bratkowski ubolewał, że wielki rozgłos nadano w Polsce pobytowi Umberto Eco, a przyjazd Andruchowycza odbył się z dala od mediów.

Nie jestem krytykiem literackim i nie będę się wymądrzać oceną wkładu Umberto Eco do literatury europejskiej i wkładu Andruchowycza do niej. Chodzi mi o coś innego – mianowicie o esej pt. „Miasto-okręt” autorstwa Andruchewicza zamieszczony w „Literaturze na świecie” nr 10/95 s. 67-73. Rzeczą dotyczy Lwowa, który metaforycznie przyrównany został do statku, a jego pasażerami w ciągu wieków były rozmaite nacje. Elegancki styl tego eseju może uwieść czytelnika. No bo któż z nas nie dał by się właśnie uwieść za takie twierdzenia „Architektoniczna topografia Lwowa jest raczej łacińska, raczej romańska, raczej barokowa... Lwów przesycany jest kulturą śródziemnomorską.” Opisuując ten pierwiastek romański Andruchowycz popełnił błąd, gdyż renesansowa kamienica nr 14 w Ryńku lwowskim nie należała do konsula weneckiego Bandinellogo tylko do Antonia di Massaro, o czym wiedzą wszyscy znający historię miasta – ale to nieważne. Ważne co dalej pisze ukraiński autor. Otóż romańskie (czyli włoskie) akcenty miasta dopełnione były przez bizantyjskie, greckie, ormiańskie, bo w tym Lwowie-mieście-okręcie żyli Ormianie, Żydzi, Niemcy i – cytując: Serbowie, Dalmatyńczycy, Argonauci, Tatarzy, Turcy, Arabowie. Szkoci, Czesi, Maurowie, Baskowie, Scytowie, Karaimi, Chazarowie, Asyryjczycy, Etruskowie, Hetyci, Goci,

Biali i Czarni Chorwaci, Celtowie, Antowie, Alanowie, Hunowie, Kurdowie (Kurdowie!), Etiopczycy, Cyklopi, Agrypi, Lestrygoni, Androgeni, Arianie, Cyganie, Kinokefalowie, Elefantofagowie, Afrykańczycy, Masoni i Metysi, Małorusini i masochiści. Franciszkanie, kapucyni, karmelici bosi i odpowiednio karmelici trzewiczekowi, bernardyni, klaryski, urszulanki, sakramentki, cecylianki, dominikanie, bazylianie, rastafarianie, redemptoryści, potem jeszcze jezuici, a jeszcze wcześniej trynitarze, którzy zajmowali się wykupywaniem chrześcijańskich niewolników ze wschodniej niewoli, różokrzyżowcy, studyci, templariusze, starowiercy i nowowiercy. Jestem przekonany, że wszyscy oni zdążyli tu zagościć” (s.70-71). A gdzie Polacy? Jurij Andruchowycz nie zauważył jednak, że zdążyli tu również „zagościć” Polacy, bagatelka bo tylko przez 600 lat. Nie zauważył również, że ta cała wspomniana przez niego kultura śródziemnomorska, ci dominikanie, kapucyni i klaryski to był świat kultury łacińskiej, alfabet łaciński – wszystko związane nierozdzielnie z kościołem rzymsko-katolickim i polską kulturą bez której Lwów z Ormianami, Niemcami, Rusinami, Żydami, Włochami i Grekami nigdy nie byłby Lwowem. A z tych nacji najszybciej i w całej patrycjuszowskiej warstwie spolonizowali się Niemcy. Nasuwa się uwaga – dlaczego się nie ukrainizowali, jeżeli Lwów był – jak piszą ukraińscy historycy np. Jarosław Isajewycz – starodawnym ukraińskim miastem.

Rozważając problem nawarstwiania się kultury, Andruchowycz zauważa, że nie był to proces idylliczny, bo mieścił się w nim brud, ludobójstwo i czystki etniczne, w związku z czym można też mówić o nawarstwianiu się antykultury. Te uwagi stanowią dla niego introdukcję do następnego fragmentu tego eseju – cytując: „Kiedy w połowie XVIII wieku na wzgórzu św. Jerzego wzniesiono okazałą barokową świątynię św. Jura, stała się ona architektoniczną dominantą miasta, widoczną zewsząd. To, rzecz jasna, denerwowało wielu rzymskich katolików, ponieważ katedra św. Jura należy do wiernych obrządku wschodniego. Odplącono im po niespełna dwustu latach, kiedy na placu przy dworcu wystrze-

liła w lwowskie niebo wysoka wieża neogotyckiego kościoła św. Elżbiety. Zasłonił on katedrę św. Jura od strony dworca kolejowego. Od tamtej pory goście Lwowa utracili panoramę wzgórza św. Jerzego. To jeden z przykładów wspomnianego nawarstwiania. Czego jest w nim więcej – religijnej gorliwości, dumy, twórczej rywalizacji, instynktu posiadania?... Nie znam odpowiedzi, chociaż pewien jestem czego innego: dzisiejszego Lwowa nie można już sobie wyobrazić bez tej pseudogotyckiej, kiczowatej „św. Elżbiety”.



Czy esteta i literata Jurija Andruchowycza nie niepokoi pytanie dlaczego o tę „kiczowatą” św. Elżbietę tak usilnie walczyli Ukraińcy i nie dopuścili do oddania tej świątyni Polakom, rzymskim katolikom? Czy będzie już mniej kiczowata bo stała się świątynią obrządku greko-katolickiego, nazywanego teraz obrządkiem bizantyjsko-ukraińskim. Idąc za tokiem rozumowania Andruchowycza mamy następne nawarstwienie kultur – czy antykultur? A poza tym, jeżeli tego autora Gazeta Wyborcza (piórem Piotra Bratkowskiego) określiła jako jednego z najciekawszych pisarzy europejskich, to powinien on chyba

wiedzieć, że w historii sztuki neogotyck jest pełnoprawną kategorią stylową, a nie kiczem. To, że łacińskość kultury polskiej raziła wyznawców obrządku wschodniego – wiemy nie od dziś – ale czy nie pora, by z tych religijnych nacjonalizmów wreszcie wyjść. W tym roku obchodzimy 400-letnią rocznicę Unii Brzeskiej.

Kończąc swój esej Andruchowycza wreszcie wzmiankuje o Polakach. Po prostu w 1918 roku chyba spadli z nieba i wygrali z Ukraińcami w walkach ulicznych. A dlaczego wygrali? Wg autora przyczyna była następująca – cytuję: „...to było ich miasto – i to nie tylko w jakimś abstrakcyjno-historycznym wymiarze, ale właśnie w wymiarze najbardziej konkretnym, osobistym – to były ich bramy, podwórza, zaułki, znali je na pamięć, już choćby dlatego, że to właśnie tu umawiali się na pierwsze randki ze swoimi pannami. Ukraińcy w znakomitej większości byli przyjezdnymi ze wsi, którzy nie najlepiej poruszali się w całkiem sobie obcych warunkach...Ale kiedy po osiągnięciu zwycięstwa (używam tego słowa z tak dużą względnością, na jaką mnie stać), p o l s k a administracja rozpoczęła historyczne wręcz represje wobec bezbronnych, przeprowadzając masowe aresztowania, pogromy, zachowała się jak obcy przybysz, zdobywca obcego miasta, jak ślepy barbarzyńca, nieczuły na prawdziwie lwowską polifonię” (podkreślenie moje – DN). Pozostawiam to bez komentarza, tylko z małą uwagą, że wg Andruchowycza mieliśmy we Lwowie zaułki, bramy i podwórza – nie mieliśmy kamienic, gimnazjów uczelni, czyli nie było śladu naszego pobytu aż do 1918 roku.

Czytając początkowe frazy eseju Jurija Andruchowycza można sądzić, że pojawił się wreszcie ktoś interesujący, uwolniony od – łagodnie mówiąc – głębokiej niechęci do łacińsko-polskiej historii Lwowa. Że wreszcie jest ktoś, kto nie będzie „zamazywał” ukraińsko-austriacką tożsamością polskiego dziedzictwa kulturalnego miasta. Niestety ciągle mamy do czynienia z jawnym lub ukrytym zaśpiewem o starodawnym ukraińskim mieście lub w najlepszym wydaniu, jak u Andruchowycza, mieście-arce z setką wyliczonych, historycznych nacji, Lwowie o przynależności do wielu kultur jednocześnie i nieprzynależności do żadnej z nich, gdzie tylko kopuła kościoła Dominikanów nie jest czymś egzotycznym.

PAMIĘTANIE, ALE JAKIE

Jerzy Masior

Ja wiem, że One czekają...

Czy można, albo czy należy być interpretatorem własnej pamięci? Zadaję sobie to pytanie od dość dawna, w miarę upływu czasu wraz z którym pamiętania jakby przybywało. Im bardziej sięgam pamięcią wstecz, tym większa rodzi się potrzeba oceny tego, co się pod sklepieniem czaszki przez lata nagromadziło. Wspomnienia bywają uwikłane w pory roku, bądź dni jakieś lub miejsca szczególne. Są klimaty pamiętania, jego temperatura, barwy, jakoweś kierunki wiatrów wiejących, zegary słoneczne i gwiazdne. Dlatego wiem, że myśl odległa zrodzona w czasie minionym i oddaleniu krajobrazów wymaga precyzji pamięci – jej odtworzeniu. Dobrnęliśmy do dnia dzisiejszego z rozregulowanym zegarem czasu, z dniami i nocami spletanymi, a gwiazdy nad nami, te same wtedy i dziś – migotliwe bardziej niż kiedykolwiek. W tym stanie, który dla uproszczenia nazwijmy chaosem, zachodzi niekiedy potrzeba ustalenia i utrwalenia minionego czasu, by mieć coś na zawsze – po kres.

Po moim ostatnim „Pamiętaniu” w poprzednim numerze SF spotkałem się z zarzutem, że ludziom, którzy na to zasłużyli nie stawiam w tekstach pomników. Nawet tym bliskim, dobrze znanym. A mnie się wydawało, że końcowy akapit „Pamiętania” był na tyle jasno wyrażony, że każdy co uważniejszy czytelnik postrzegł moją niechęć pisania biografii. Są au-

torzy, którzy we współczesnym nam czasie robią to ze znanostwem, z szerokim dostępem do źródeł. Rzetelne biografie tego wymagają. A ja staram się docierać do zapamiętywania w innych celkach i innymi ścieżkami. Zaledwie śledzę te mechanizmy, więc utyka moja pamięć i tu, i tam. Stawiam nieustannie pytanie: dlaczego jeden jedyny człowiek lub dzień jedyny jest niezagubiony, tkwi w synapsach pamięci, jest z nami.

Ulica Łyczakowska to jakby źródło mojego lwowskiego patriotyzmu. Nie tylko zresztą mojego. Szlifowałem jej chodniki od placu Cłowego (używam dawnej nazwy, bo mi się ona podoba) po Ostrobramską, przejeżdżałem „jedyneką” z częstym wysiadaniem na Antoniego, przy Wójtowskiej i w parku niezliczoną ilość razy. Znam nieomal każdą kamienicę i rzadkie już w moich czasach domy w ogrodach, ulice i uliczki boczne, każdy sklep towarów mieszanych, kolonialnych i innych. A jeżeli tego czy owego nie zapamiętałem, to mi Toldziu Palej – dziecko Łyczakowa, na Kurkowej wyrosłe, przed swoim zbyt rychłym odejściem – wiele naopowiadał. Z komentarzem niepowtarzalnym. Napisałem onegdaj przydługą, poetycką rzecz „Z Łyczakowa z bliska i z daleka”, a dziś chodzi mi po głowie, że ja Łyczakowskiej właściwie nigdy nie opisałem. Może właśnie dlatego, że zbyt dobrze ją znam i zapamiętałem. I jeszcze żeby sprawę zawikłać, to bywam

przecież na niej ostatnimi czasy conajmniej dwa razy w roku.

Zapewne do czegoś to wystarcza, jednakże nie do portretu w moich barwach, do wpisania przestrzeni nasączonej tamtymi zapachami i ciepłem nagromadzonym po zakamarkach bram, na tramwajowych przystankach, w oknach parteru i pięter z wyłożonymi pluszowymi poduszczkami dla wygody babczyńskich łokci i oczu wypatrujących pulsującego rytmu ulicy. Mam to wszystko przed oczyma, jednakże wiem, że moje opisywanie Łyczakowskiej ugrzęźnię w mieliznach miałości powtarzania i pogubienia czegoś nienazwanego. A właśnie to nienazwane ulicy tej się należy. Czas przemija a my świadkowie przemijamy wraz z nim i już niezadługo świadczyć nikt nie będzie. Przecież tam teraz „wszystko jest inaczej”, wszystko umyka jakimkolwiek sposobem utrwalania. Są tacy, którym na tym utrwalaniu nie zależy. Może najmniej ich jest wśród nas, Lwowian. Ale obecni gospodarze miasta...?

Prócz Łyczakowskiej jest jeszcze Kurkowa, moja „szkolna” ulica, bo nią wędrowałem do gimnazjum. Zasługuje na oddzielne „Pamiętanie”, bo nagromadzenie przy niej miejsc szczególnych wielkie.

Moim ulubionym przy Kurkowej przystankiem był Park Strzelecki, zwany także ogrodem Bractwa Kurkowego. Wejście od ogrodu od ulicy jakieś nieszczerne, jakby zakamuflowane od frontu żeliwnymi sztachetami ogrodzenia no i dziedzińiec z wtopionym w drzewa obszernym dworzyszczem Bractwa. Nie te jednakże szczegóły były dla mnie i dla moich kolegów przyczyną powodującą częste nasze plawienie się w zieleni wybujałej do

przesytu, wręcz niekiedy jakby zdziczałej. Dziś wydaje mi się, że egzotyka tego parku, czy ogrodu była we Lwowie największa. Z rzadka odwiedzany w latach trzydziestych przez publikę był dla nas wagarową przystanią najmilszą. Ukryci w gęstwinie drzew, na wydeptanym placyku nad wąwozem strzelnicy, rozgrywaliśmy futbolowe mecze zapamiętani w uganianiu za piłką, w zieleni, w niepowtarzalności stromizn otaczających i wyczuwalnego klimatu tajemniczości. Ucieczki z lekcji pod Piaskową Górę lub na polankę pod Kopcem, były czymś bardziej jawnym, bo w przestrzeń nieosłoniętą drzewostanem nieujarzmionym.

Na placyku przed parkiem kopaliśmy wraz z dziewczętami z pobliskiego Nazaretu rowy przeciwlotnicze w ostatnich dniach sierpnia 39 roku, a jeszcze później odkryłam któreś tam okupacyjnej wiosny, że pod parkanem od strony szpitala kwitną najwonnejsze fiołki...

Z dzisiejszej perspektywy wydaje mi się, że Park Strzelecki odegrał niepośrednią rolę w moich rozważaniach nad wyborem zawodu: chciałem być leśnikiem.

Wybierałem się też na architekturę. Ten wybór miał także piętno podświadomości. Kształtowała się ona w otoczeniu II gimnazjum, mającego położenie we Lwowie szczególnie – rzecz można niepowtarzalne. Rozejrzyjmy się: w zasięgu wzroku i kilkudziesięciu niekiedy kroków lwowskie świątynie starożytne i najwspanialsze – cerkiew wołoska z perłą renesansu całkiem zachodniego kroju – wieżą Korniakta, Dominikanie, moi szkolni Karmelici i jeszcze pobliska kaplica arcybiskupa z pałacem i tuż obok po drugiej stronie Teatyń-

skiej kościół SS Miłosierdzia za murem grubachnym, wybielanym. To miejsca kultu, a jest przecież także nagromadzenie fortalicji: Baszta Prochowa zrównana bliźniaczo nieomal z gimnazjum i dwa arsenały: Królewski i miejski. Są same Wały Gubernatorskie, na których ni to w parku, ni to wśród zielonej promenady stanął na początku ubiegłego stulecia budynek mojego gimnazjum, przez wiele lat szkoła z niemieckim językiem nauczania. Los sprawił, że i dziś uczą się tam młodzi Ukraińcy w tym samym języku. Przed rokiem zaledwie odwiedziłem moje klasy, korytarze, podwórko... To temat na później.

U początku Wałów, bliżej wylotu Łyczakowskiej, niezapomniana Książnica Atlas z witrynami książek niezakupionych, jednakże upragnionych. Stamtąd na półce mojej, będącej wciąż na niezaspokojonym dorobku biblioteczki „Ryby śpiewają w Ukajali”, „Kanada pachnąca żywicą”, „Straszny dwór”, sienkiewiczowska „Hania” nad którą wylewałem w ukryciu niemęskie łzy wzruszenia. Stamtąd mapy do ćwiczeń z geografii, no i podręczniki szkolne. Tomy „Mówią Wieki” najdziwniejszym trafem udało mi się zachować do dziś. I tu jawi się niezapomniany, mój najważniejszy nauczyciel języka polskiego: prof. Bolesław Lewicki, „Bolciem” zwany, harcerz wspaniały, poeta, filmowiec, inspirator naszych myśli i czynków nie tylko polonistycznych. Wały Gubernatorskie zaglądały rozkwitłymi kasztanami w okna znaczących w mieście budynków: Województwa i b. pałacyku znakomite ponoć lwowskie bale. Tego nie pamiętam, bo balowałem wtedy na Kajzerwaldzie i

Pasiekach, a w szkole tośmy tylko Mikołaja dla ubogich dzieci urządzali. Przy takiej okazji muzyka do tańca nie przygrywała. Zapominałskim przypominam, że potańcówki w gimnazjum zaczynały się w klasie IV. Ja dobrnąłem w 39 roku tylko do trzeciej. Muszę ze skrucą dziś wyznać, że bez specjalnego entuzjazmu naukowego. Drużyna harcerska i jej sprawy były najważniejsze. Może i przydługi jest opis „geografii” II gimnazjum, ale cóż na to poradzę, że takie szczególnie było położenie. Jak widać, mogło ono odciskać piętno zainteresowań w umyśle młodym, a więc chłonnym i podatnym. Stąd też niezborne wówczas jeszcze myśli o studiowaniu architektury. A że trafiłem na medycynę, to już zupełnie inna historia.

Wędrując dziś ulicami Lwowa, a zwłaszcza tymi w owych latach najbliższymi: Łyczakowską, Kurkową, Czarnieckiego, Karmelicką, Unii Lubelskiej, Teatyńską, Wojciecha, Sobieszczyzny stwierdzam, że nasza tam, dzisiejsza polska obecność i nieliczna i rozproszona. Nie ma ulic o szczególniejszym zasiedleniu przez rodziny polskie. Być ich zresztą nie może, bo „mało nas i ciężko nam” pod Wysokim Zamkiem. Są wprawdzie miejsca spotkań szczególnych: Katedra, św. Antoni, lokal TKPZL w Rynku, jakaś salka teatralna, dwie polskie szkoły, lecz to prawie już cały nasz zbiorowy stan posiadania. Nie wspominam o Orłętach, bo to temat trudny i niezgodny, a i zły woli pamiętliwych i krótkowzrocznych. Nasz sądecki Klub TMLiKPW ma we Lwowie 3 podopieczne osoby: na Sobieszczyzny właśnie, na Łyczakowskiej i na Głowińskiego. Są to kobiety, bardzo samotne i bardzo

przez Stwórcę i ludzi zapomniane. Ich mieszkania to klitki niewyobrażalne, najczęściej przez mieszkanki nie opuszczane. Z braku sił, które wiek zabrał i nadal zabiera. Steranej upływem lat staruszcze łatwo jest zatonać w zapomnieniu w ukraińskim, prawie milionowym środowisku. Wiele przyczyn obiektywnych powoduje, że tak właśnie jest. Że samotność i do okien zagląające gołębie to jedyni świadkowie gasnącego tu i tam polskiego żywota w mieście. Jesteśmy wraz z licealną, nowosądecką młodzieżą kilkakrotnie w ciągu roku u na-

szych podopiecznych. Ale czy są to w istocie podopieczni. Czy można skutecznie pomagać bywając tam tak rzadko. Trwamy z tym pytaniem. Chcemy nań odpowiedzieć, lecz trudności w organizacji skromnego, lecz cywilizacyjnego bytowania tych naszych Opuszczonych są niepomierne. Prócz woli wszystko inne przychodzi z trudem, z przeciwnościami losu i materii. A, że wiem nie tylko o naszej pomocy organizowanej w kraju przez ZG TML, to zapamiętajcie mili czego, prócz podstawowych środków żywnościowych, higieny, le-

ków i wsparcia pieniężnego pragną: naszych odwiedzin najczęstszych, naszych dowodów pamięci. I niekiedy odrobinę odmienności w podarunkach, odrobinę delikatesowych zbytków: tabliczki czekolady, słodyczy, cytrusów. To tacy sami staruszkowie jak na całym świecie: lubią słodkości jak dzieci. Odrobinę czegoś innego pośród niewyobrażalnie monotonnego upływu czasu. Jedna z pań prosiła o karty do pasjansa. Rozumię ją. Kupilem. Dostanie je w maju.

Nowy Sącz, maj 1996

Konspiracyjne kariery

Władysław Śledziński

(Wojciech Myślenicki)

W ostatnim dniu lwowskiej „Burzy” nagle stali się sławni dwaj przyjaciele: Karol Kuryluk i Mirosław Żuławski. Znałem ich sprzed wojny. Pierwszy z nich był naczelnym redaktorem i wydawcą komunistycznego dwutygodnika „Sygnały”, zaliczanego później do kategorii pism „jednolito i ludofrontowych”, drugi współpracował z tym piśmem i był sekretarzem lwowskiego wojewody.

Wojewoda mógł nie wiedzieć, że jego sekretarz jest komunistą, albo był takim liberałem, któremu to nie przeszkadzało. Ja byłem sanacyjnym dziennikarzem, więc niejako z natury rzeczy byliśmy antagonistami politycznymi. Z Mirosławem Żuławskim spotykałem się czasem w dniach moich dziennikarskich wizyt w Urzędzie Wojewódzkim, z Kurylukiem też nie łączyła mnie bliższa znajomość, ale spotykając się na ulicy, zwykle mieliśmy sobie do powiedzenia jakieś życzliwe słowo. Przestrzegało się zasad kurtuazji.

Po klęsce wrześniowej, „za pierwszych bolszewików”, Kuryluk został członkiem zespołu redakcyjnego „Czerwonego Sztandaru” – organu komitetu obwodowego komunistycznej partii bolszewików. Co w tym czasie robił Żuławski – nie wiem. Ja, po rozstaniu z redakcją „Dziennika Polskiego” i PAT-em, zacząłem konspirować i pracować jako kierownik sklepu muzycznego (dawny sklep Kaima, potem Ukrkultorg, przy ulicy Kopernika). Tam też pracowałem w początkowym okresie wojny niemiecko-sowieckiej. O dalszych politycznych karierach moich dwu znajomych dowiedziałem się z tekstu wspomnień Lecha Sadowskiego, napisanych na zlecenie Instytutu Historii PAN (zlecenie nr 26/27).

Przybył do Lwowa w październiku 1941 roku, w czwartym miesiącu wojny niemiecko-sowieckiej i w miesiąc po rozstrzygnięciu konfliktu w dowództwie ZWZ: 26 września sąd Komendy Głównej skazał komendanta Obszaru, ppłk. Emila

Macielińskiego na karę śmierci za współpracę z NKWD.

Wypada tu wspomnieć, że już w lipcu zaczęto w Londynie podejrzewać, że Komenda Obszaru Nr 3 jest infiltrowana przez agentów sowieckich. Z wspomnień Lecha Sadowskiego dowiedziałem się, że w listopadzie Kuryluk i Żuławski pracowali w BIP-ie komendy Obszaru 2. Nie napisał jednak jak to się stało, że owi dwaj komunistyczni przyjaciele wylądowali w antykomunistycznym Związku Walki Zbrojnej. Kuryluk redagował codziennie „Wiadomości Radiowe”, początkowo od listopada 1941 roku, pisane ręcznie w paru egzemplarzach – w grudniu pisane na maszynie. W relacji Sadowskiego „Wiadomości Radiowe” były pierwszym widowym znakiem istnienia ZWZ. Ponieważ działo się to w okresie, gdy już ponad dwa lata istniały w tym mieście aż trzy organizacje wojskowe – dowód to oczywisty, jak słabo się orientował w sprawach lwowskiej konspiracji. Zresztą, jakie ten „widomy znak” mógł mieć praktyczne znaczenie, jeśli był pisany ręcznie lub na maszynie w paru egzemplarzach?

Ambitny, młody (miał 24 lata), a także zdumiewająco łatwowierny Lech Sadowski, był jednak dzielny konspiratorem. Rezultatem jego energicznych starań było zorganizowanie drukarni i wydawanie „Biuletynu Ziemi Czerwińskiej”, którego pierwszy numer zredagował i wydał w 350 egzemplarzach w końcu grudnia 1941 roku. Od następnego numeru redakcję objął Miroslaw Żuławski i wciągnął do współpracy Kuryluka. O ich współpracy pisze Grzegorz Mazur: „Obecność w BIP-ie Obszaru K. Kuryluka i M. Żuławskiego z kręgu przedwojennych lewicowych „Sygnałów” miała wpływ na oblicze polityczne Biuletynu. Oceniali oni bowiem realnie rozwój sytuacji w czasie wojny i starali się unikać zbyt agresywnej propagandy antyradzieckiej ... Wątpliwy to argument.

Od lipca 1941 roku, gdy generał Sikorski podpisał układ wznowiający polsko-sowieckie stosunki dyplomatyczne, uprawianie takiej propagandy byłoby sprzeczne z polityką rządu polskiego, a zatem – w takiej organizacji wojskowej jak ZWZ czy AK, podporządkowanej rozkazom Naczelnego Wodza – byłoby to po prostu niedopuszczalne.

W styczniu 1942 Lech Sadowski został szefem BIP-u Obszaru i był nim niecałe cztery miesiące. Aresztowano go 25 kwietnia („pracował w swoim lokalu konspiracyjnym (...) na stole miał rozłożo-

ne materiały redakcyjne (...) czekał na Żuławskiego (...) odezwał się umówiony dzwonek, (drzwi otworzyła łączniczka (...)), zamiast Żuławskiego do mieszkania wtargnął policjant niemiecki”. Po roku Sadowski wydostał się z więzienia i wyjechał do Warszawy.

W dwa miesiące po przemianowaniu ZWZ na AK, komendant Obszaru, generał Kazimierz Sadowski, dokonał zmian personalnych w wielu jednostkach organizacyjnych – także BIP-ie. W kwietniu Władysław Grzędzielski został szefem BIP-u w Komendzie Obszaru, ja – w Komendzie Okręgu. Redaktorem „Biuletynu Ziemi Czerwińskiej” pozostał Miroslaw Żuławski.

Dopiero z książki Grzegorza Mazura dowiedziałem się, że z redakcją Biuletynu „związany był znany językoznawca, profesor Zdzisław Stieber”. Karol Kuryluk (w numerze 12-13 z 14.IV.1942) ogłosił artykuł „Remarque po raz wtóry” Oddziału II (wywiad) Komendy obszaru ppłk dypl. Henryk Pohoski (redagował rubrykę „Położenie wojskowe”, a teksty dostarczał także szef BIP-u Okręgu Lwów, Wojciech Myślenicki” ...

W takim „związaniu” może to wyglądać nawet na solidny zespół, ale naprawdę było inaczej. Żuławski i Kuryluk byli komunistami, Stieber był wrogiem Armii Krajowej, Pohoski – szefem akowskiego wywiadu, ja dopiero zaczynałem pracę jako szef BIP-u Okręgu.

W Instytucie Historii PAN-u zachowały się wspomnienia Stieberta z czasów niemieckiej i sowieckiej okupacji Lwowa. Nie omijał w swoich tekstach okazji aby pochwalić Niemców, przypodobać się Rosjanom i Ukraińcom. Przyznawał, że „w walkach o Lwów wzięty udział po stronie radzieckiej oddziały AK, które się spisały bardzo dzielnie”, ale przytoczył „bardzo dziwny fakt, który zdarzył się po opanowaniu miasta przez wojska radzieckie”.

„Wtedy – jak pisze – oddziały AK zamknęły dostęp do śródmieścia lwowskiego, a same zaczęły tam wystrzeliwać podług listy różnych Ukraińców, przypuszczalnie członków UPA. Razem wystrzelono podobno około sto osób. Taki był dość haniebny epilog polityki akowskiej współpracy z Ukraińcami dla zbudowania jednego państwa od Odry po Wołgę”.

Ale skąd ta wiadomość? Czy napisał to na podstawie jakiejś wiarygodnej relacji lub na podstawie dokumentów? Nie. Profesor Stieber wiedział

tylko, że podobno tak było. Wielkie to oszczerstwo i niemała prowokacja.

To, że „dostarczałem” teksty do prasy konspiracyjnej potwierdza zachowany w archiwum (chyba WIH) półroczny raport z pracy organizacyjnej od 1 marca do 1 września 1942 roku. Napisano tam: „szef BIP-u, Nemo, opracowuje dla wewnętrznych potrzeb Dukata „Tygodniowy Biuletyn oraz szereg artykułów dla prasy miejscowej”. Nie wiele w tym „szeregu” było tekstów. Pamiętam wysłany do Biuletynu Ziemi Czerwińskiej tekst o „Czterech jeźdźcach Apokalipsy” Blasco Ibaneza i kilka tekstów do „Wytrwamy” wydawanego przez Władysława Świrskiego. Dostyc miałem roboty nie tylko zresztą z Tygodniowym Biuletem.

Meldunkiem organizacyjnym nr 118 z 16 maja, główny komendant AK, generał Rowecki, zawiadamiał władze w Londynie: „Nawiązano kontakty z miejscowym społeczeństwem i przystąpiono do likwidacji i podporządkowania pozostałych z okresu okupacji sowieckiej różnych grup i organizacji wojskowych. Po rozpracowaniu ludzi z byłego sztabu „Kornela” (Macielińskiego) część ich, jako wolnych od wszelkich podejrzeń – wciągnięta została do pracy. Co do innych – przekazano sprawę Wojskowemu Sądowi Specjalnemu”. W takich okolicznościach Karol Kuryluk – jak pisze Grzegorz Mazur – „w połowie 1942 roku odszedł do Gwardii Ludowej Obwodu Lwów”. Mirosław Żuławski chyba także czuł się zagrożony, jako szef BIP-u Obszaru w sztabie pułkownika Macielińskiego, którego sąd kapturowy ZWZ skazał na karę śmierci za współpracę z NKWD.

O dalszej karierze Kuryluka pisze Jerzy Węgierski: „Na początku września 1942 zaczęła organizować się Polska Partia Robotnicza we Lwowie. Od października tego roku zaczęło też wychodzić kilka czasopism konspiracyjnych PPR o zmieniających się tytułach. W redagowaniu miesięcznika „Głos Wolności” uczestniczył Karol Kuryluk, przez jakiś czas biorący poprzednio udział w opracowaniu nasłuchów radiowych dla „Biuletynu Ziemi Czerwińskiej” i tam publikujący. Kuryluk wszedł później do Komitetu Obwodowego PPR, którego pierwszym sekretarzem został Jakub Śliwa „Roman”, były student Uniwersytetu Warszawskiego i były członek KPP, skierowany do Lwowa z Warszawy. Zrozumiałe, że redaktor przedwojennych komunistycznych „Sy-

gnałów” mógł uczestniczyć podczas wojny w redagowaniu komunistycznego „Głosu Wolności”. Ideowy komunista pozostał wierny dawnym przekonaniom. Ale co robił, a raczej – co wspólnie z Żuławskim robili w ZWZ i AK?

Długo po wojnie, w Małej Encyklopedii Powszechnej, 1969, w nocie biograficznej Kuryluka przeczytałem: „W czasie okupacji hitlerowskiej redagował tajne pisma Gwardii Ludowej i Armii Ludowej”. Nie wspomniano tam o jego „zasługach” redakcyjnych także dla Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej.

14 stycznia 1944 Niemcy rozstrzelali we Lwowie trzynastu oficerów i żołnierzy z Komendy Obszaru. Zginęli wśród nich: szef sztabu major Tadeusz Wojciechowski i szef kontrwywiadu Czesław Dzierżek. W mieście był nastrój pogromowy. W lutym – z rozkazu komendanta okręgu, płka Stefana Czerwińskiego zacząłem spełniać obowiązki szefa kontrwywiadu, w kwietniu zatwierdzono mnie na tym stanowisku. Nowe obowiązki spełniałem jednocześnie z dotychczasowymi, jako szef BIP-u i szef kontrwywiadu. Wiedziałem, że ta nominacja jest następstwem wielkiej tragedii w lwowskiej Armii Krajowej (pisałem o tym w „Tygodniku Powszechnym” nr 38/88).

W kwietniu 1944 Władysław Grzędzielski musiał ustąpić ze stanowiska szefa BIP-u komendy Obszaru. Nasza współpraca – okrągłe dwa lata! – układała się dobrze. Wiedziałem, że to przedwojenny wicestarosta z Turki, on wiedział co robiłem przed wojną, darzyliśmy się wzajemnym zaufaniem. Przeniesiono go na fikcyjne w rzeczywistości stanowisko naczelnika Wydziału Bezpieczeństwa w Okręgowej Delegaturze Rządu.

Nowym szefem BIP-u Obszaru został Mirosław Żuławski, a ponieważ Obszar w stosunku do Okręgu był jednostką organizacyjnie nadrzędną – został też moim szefem.

Czy zdziwiła mnie ta nominacja? Nawet nie bardzo. Żuławski znany był jako sekretarz wojewody. Jeśli tak godna osobistość jak wojewoda dr Alfred Biłyk miał do niego zaufanie – kto mógłby wątpić? To, że kiedyś „sympatyzował” z komunizmem nie miało znaczenia. Dużo takich było i „za pierwszych bolszewików” szybko się wyleczyli. O tym, że komunista mógł stać się jakimś szefem w Armii Krajowej – nikt przy zdrowych zmysłach nie myślał.

Teraz Mirosław Żuławski miał do spełnienia zadanie, którego na pewno nie chciałby spełnić Władysław Grzędzielski. Wobec zbliżenia się wojsk sowieckich do Lwowa i konieczności przeciwdziałania antysowieckim nastrojom w społeczeństwie (nie zapomniano przecież zbrodniczych wywozów i wymordowania więźniów w czerwcu 1941) postanowiono roztoczyć kontrolę nad prasą konspiracyjną. Czyj to był pomysł – nie wiem. Nie wiem też, czy na pewno tak było. Ale chyba tak...

Na 254 stronie swej książki pisze Grzegorz Mazur: „Na terenie Obszaru Lwów, gdzie wychodziło ponad 30 pism konspiracyjnych wydawanych przez różne ugrupowania, powołano na przełomie maja i czerwca 1944 organ mający koordynować ich działalność propagandową – Komisję propagandy, w której skład wszedł szef BIP-u Obszaru”. Było to w pierwszym miesiącu urzędowania na tym stanowisku Mirosława Żuławskiego.

„Zadania owego organu...”:

1. Komisja Propagandy zajmie się urabianiem w sposób jednolity opinii publicznej na terenie Ziemi Południowo-Wschodnich w duchu niezbędnym dla dobra sprawy Polski.

2. W tym celu członkowie Komisji Propagandy przyjmują odpowiedzialność za treść artykułów reprezentowanych przez nich organów prasowych i ich zgodność z ustalonymi przez Komisję tezami.

3. Komisja propagandy rozpatruje każdorazowo przeznaczone do publikacji informacje cywilne i wojskowe i formułuje je dla użytku prasy.

4. Komisja propagandy będzie się starała wpływać na opinię publiczną Polski Centralnej i Zachodniej w kierunku zrozumienia położenia ludności Ziemi Południowo-Wschodnich i jej potrzeb oraz postulatów.

Praktycznie miało być zapewne tak, że redaktorzy wszystkich konspiracyjnych pism „różnych ugrupowań” mieli stać się członkami komisji, której przewodniczącym – z racji swego stanowiska w BIP-ie – był Mirosław Żuławski. Mówiąc najogólniej, chodziło o scentralizowanie polskiej prasy konspiracyjnej, o stworzenie instytucji cenzury, kontrolującej wszystkie wydawnictwa konspiracyjne niezależnie od ich tendencji politycznych i dopuszczenie do publikowania tekstów tylko w wersji sformułowanej przez komisję, lub których treść była zgodna z jej tezami. Na pytanie, czy naprawdę było to „w duchu niezbędnym dla

dobra sprawy Polski” można chyba odpowiedzieć, że dużo w tym kraju popełniono podłości rzekomo w takim duchu. Na zrealizowanie tego pomysłu nie starczyło czasu. W lipcu zaczęła się „Burza”.

Przypadek zdarzył, że prawie pięćdziesiąt lat po tych tragicznych zdarzeniach, przeczytałem w miesięczniku „Twój Styl” (nr 9/93) felieton Mirosława Żuławskiego właśnie pt. „Burza”. Tekst całostronicowy, ale o zdarzeniach nazwanych tym kryptonimem – tylko tyle: „W połowie miesiąca słychać było pomruk dochodzący od północnego wschodu, a siedemnastego spadły na miasto pierwsze pociski artyleryjskie (...) Nad ranem w nocy z 21 na 22 lipca kanonada wzmogła się. Potem niemieckie działko PAK na Kwiatkowie strzela jak oszalałe. Stoję na taborecie i patrzę przez okienko, ponad grządki ogródka. O 7 przejeżdża w stronę miasta niemiecka ciężarówka pełna żołnierzy, ciągnąc działko. O 8.15 słychać na ulicy głosy: patrol trzech czerwonoarmiejców w płachetkach pod ulewnym deszczem. Potem cisza jak makiem siał. Słychać tylko krople deszczu...”

Przeczytałem i nie wiedziałem co to jest? Parodia? Szyderstwo? Ale tak w relacji Żuławskiego „wyglądało odwracanie karty historii” w dniach lwowskiej „Burzy”, która w rzeczywistości była jedną z naszych wielkich klęsk.

W miesięczniku „Twój Styl” (nr 10/93), w felietonie „Po omacku” Żuławski pisze: „właśnie przyszedł Karol Kuryluk, którego na jakiś czas przytuiliłem w BIP-ie, miał jakimś cudem jeszcze jeden bilet na samolot, no i zabrał mnie do Lublina”.

Nie wiem, w jaki sposób i z jakiego powodu „przytulił w BIP-ie” Kuryluka, nie wiem z jakich przywilejów korzystał Kuryluk, że mógł mieć dwa bilety na samolot i zabrać kogo chciał, a wreszcie – jakiego rodzaju musiał to być cud, żeby właśnie Żuławski, jako szef BIP-u, czyli oddziału VI Sztabu Obszaru i jego najbliższy współpracownik – w okolicznościach pogromu Armii Krajowej – mogli tak łatwo dostać się na pokład sowieckiego wojskowego samolotu.

Pamiętam odlot Żuławskiego i Kuryluka do Lublina. Było to 30 lub 31 lipca, w przeddzień lub w dniu aresztowania generała Filipkowskiego i pułkownika Czerwińskiego i wywiezienia ich samolotem do Żytomierza na rzekome rozmowy z generałem Żymierskim. Rano, około dziesiątej,

stałem w grupie kilku oficerów przed domem dowództwa AK przy ulicy Kochanowskiego. Tego dnia jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy z grożącego nam niebezpieczeństwa. Rozmawialiśmy o przewidywanych wynikach rozmów naszych dowódców w Żytomierzu, a poza tym – sensacją była ucieczka Kurylaka i Żuławskiego sowieckim samolotem do Lublina. Tak mówiono: u c i e c z k a. Mówiono, że zabrali maszyny do pisania i jakieś przechowywane papiery. Któryś z oficerów powiedział, że jeśli to ucieczka – to będą mieć rozprawę przed sądem wojskowym.

W „Twoim Stylu” (nr 11/93) Żuławski pisze: „W Lublinie (...) po paru dniach zacząłem pracować w gazecie, która nazywała się „Rzeczypospolita” (...) Przyjmując mnie do redakcji Jerzy Borejsza, wszechmocny wówczas niby sam Pan Bóg, powiedział: „Wiem, wiem... Sekretarz wojewody, AK, szef BIP-u”. Cóż to za tytuły do chwały! Miał też powiedzieć: „Chcieli was zamknąć, ale zaręczyłem głową” Wydaje się to jednak mniej wiarygodne, bo jakże mieliby zamknąć tak zasłużonego szefa z Armii Krajowej, którego sowieckim wojskowym samolotem wieziono na spotkanie z osobistością wszechmocną jak sam Pan Bóg!

Lwowska „Burza” skończyła się likwidacją Armii Krajowej. Około tysiąca sześćset jej żołnierzy i oficerów schroniło się w oddziałach leśnych „Warta”. Byłem wśród nich. Dwaj przyjaciele robili tymczasem zawrotne kariery.

Mirosław Żuławski został w Lublinie zastępcą naczelnego redaktora „Rzeczypospolitej” Jerzego Borejszy i wkrótce urządził się w służbie dyplomatycznej Polski Ludowej: pracował jako attache kulturalny i sekretarz ambasady w Paryżu, radca do spraw kulturalnych w ambasadzie w Pradze, stały delegat PRL przy UNESCO, ambasador w Senegalu. Odznaczony Krzyżem Grunwaldu. Kiedyś ktoś zażartował: „Chyba za wiekopomne zwycięstwa w konspiracyjnej walce z ZWZ i AK”.

Kuryluk został naczelnym redaktorem tygodnika „Odrodzenie”, w którym żołnierzy armii Krajowej nazwano „zapłutymi karłami reakcji”, dożeglował do stanowiska ministra kultury, był ambasadorem w Wiedniu. Jakże były losy innych szefów BIP-u?

Aresztowany po „Burzy” szef BIP-u Obszaru Lwowskiego, Władysław Grzędziński, został wywieziony do Rosji, zmarł w czerwcu 1949 w

Bajm, obwód Mariański. Dwaj kolejni szefowie BIP-u w okręgu poznańskim, dwaj w łódzkim i szef okręgu wileńskiego zostali rozstrzelani. Następny szef BIP-u okręgu wileńskiego i szef nowogrodzkiego – wywiezieni do sowieckich obozów. Szef BIP-u okręgu kieleckiego zmarł w kieleckim więzieniu. Szef BIP-u Obszaru Kraków-Śląsk zginął w Oświęcimiu. Szef z okręgu śląskiego – zgilotynowany. Szef BIP-u komendy Głównej płk Jan Rzepecki skazany na osiem lat, jego zastępca Kazimierz Moczarski – na karę śmierci.

Przypominam to, korzystając z not biograficznych w opracowaniu Grzegorza Mazura. Nie o wszystkich zachowały się wiadomości. Ale nikt nie zrobił tak błyskotliwej kariery, jak ostatni, trzymiesięczny szef BIP-u obszaru Lwowskiego i jego najbliższy przyjaciel.

W „Polityce” (nr 16/93) syn Mirosława Żuławskiego, Andrzej opublikował artykuł pt.: „Zdraycy bywają konieczni”. Zastanawiając się nad wieloznacznym pojmowaniem słowa „zdrada” napisał, że „Francja do swoich zdrayców ma stosunek ciepły” i „zdraycy byli jej od wszechczasów potrzebni”. Jako słynnych francuskich zdrayców wymienił Talleyranda, De Gaulle’a i Petaina, a z polskich – pułkownika Ryszarda Kuklińskiego.

„Więc, nie przymierzając, pułkownik Ludowego Wojska Polskiego – Kukliński? Jakoś nam się, generalnie rzecz biorąc w narodowej świadomości nie mieści jego powrót, uznanie jego „zasług, orderów, emerytury, chwały”. Słowo z d r a d a znaczy: przejście na stronę nieprzyjaciela. Wspomniani Francuzi byli strategami politycznymi, ale nikt z nich nigdy nie przeszedł na stronę nieprzyjaciela. Pułkownik Kukliński też na stronę nieprzyjaciela nie przeszedł. Stany Zjednoczone były przyjacielem Polski. Nieprzyjacielem był Związek Sowiecki, którego armia okupowała Polskę. Wybór Polaków do wojska i zmuszanie ich do składania przysięgi na wierność władzom okupacyjnym – nie zwalniał ich z obowiązku walki o niepodległość kraju.

Andrzej Żuławski pisze o Kuklińskim: „Nie chciałbym się z nim spotkać, nie wpuściłbym go do swego domu”. A ja chciałbym wierzyć, że bezkompromisowa walka o niepodległość, nawet tak szaleńczo odważna jak pułkownika Kuklińskiego, mieści się także w narodowej świadomości Andrzeja Żuławskiego.

Janina Nuckowska

Wiersze pisane w łagrze w Krasnodonie na bibułkach papierosowych (rok 1945)

Pioluny

Nie ma ulgi białego obłoku na niebie.
Słońce, jak czołg czerwony, wypelza i grozi.
Szorstkim żużlem głęboko zachłyśnięta ziemia
Nie winna krwi przelanej – ona piolun rodzi.
Milczą wschody siedmioma kolorami tęczy.
Cierpną dłonie, co prosić nie chcą i nie mogą.
Tylko L w ó w w moich skroniach pulsuje – i męczy
Nieskończona rozpiętość człowieka – i Boga.
Zgubiły mi się słowa wśród stepu i nieba.
Spłowiałam i obwisły mi ręce jak jedwab.
Step umiera o zmierzchu z bolesnej miłości,
Daleki i bezkresny – jak matczyne oczy.

Step

Pamięci mojej Matki
zmarłej 6.VI.1945 r. w Krasnodonie

Pociemniało. Od stepu idzie woń pragnienia
I chmury kadzidlano błagają o łaskę.
Niebo niechętnie prośbom. Step mocniej zzieleniał,
Światłością uwypukla, co brzydkie i płaskie.
Liście łakną, jak usta w ostatnim oddechu,
Napelnienia słodyczą i ulgą i życiem.
Myśl ustala na długo, jak znużony piechur,
Co idzie w dal bez kresu, aby wrócić z niczym.

Gimnazjum brzeżańskie w latach 1806-1939

Bożenna Zawirska

Zbliżając się do kresowego miasta Brzeżany od strony Potutor z daleka rysowały się na horyzoncie potężny zamek Sieniawskich i wyniosły gmach gimnazjum tonący w zieleni. Do gimnazjum dochodziło się od strony rynku idąc ciągle prosto ul. Adamowską, przecinając jezdnię ul. Zygmuntowskiej, a niedługo potem skręcając w prawo i wspinając się pod górę małą, willową uliczką wiodącą małym zakolem w lewo i kończącą się przed białościennym gmachem gimnazjum. Brzeżańskie gimnazjum przechodziło różne koleje, nim osiągnęło tak znaczne rozmiary, długie lata pozostawało ściśnięte w pomieszczeniach ratusza i nie od razu osiągnęło zasłużoną ocenę jednego z najlepszych w Małopolsce Wschodniej.

Jego początki sięgają 1805 roku, kiedy to dzięki staraniom księżnej Izabelli Lubomirskiej przeniesiono w 1806 roku pięcio-

klasowe gimnazjum ze Zbaraża do Brzeżan przekształcając je w sześcioklasowe, a od 1863 roku w ośmioklasowe. Na przełomie XIX i XX wieku dyrektorem gimnazjum był Mateusz Kurowski.

6. i 7. VI. 1906 roku odbyły się uroczystości jubileuszowe z okazji setnej rocznicy brzeżańskiego gimnazjum, w których prócz grona nauczycielskiego i młodzieży uczestniczyło 200 gości. W oknie odnowionego ratusza od strony wlotu do ul. Adamowskiej umieszczono oświetlone daty 1806-1906 i napis

„Alma Mater wita swoich wychowanków”. A było wśród nich wiele zasłużonych i dostojnych osobistości, m.in. prof. chirurgii Uniwersytetu Wiedeńskiego dr Jan Hofmokr, metropolita greko-kat. we Lwowie Spirydion Litwinowicz, arcybiskup metropolita rzym-kat. we Lwowie Seweryn Morawski, profesorowie Uniwersytetu wraz z dr. Emilianem i Ale-

ksandrem Ogonowskim, minister oświaty we Wiedniu prof. prawa Edward Rittner, dyrektor teatru lwowskiego Witalis Smochowski, arcybiskup metropolita ormiański we Lwowie Grzegorz Szymonowicz i inni. 6.VI. odbyło się uroczyste i wzruszające wszystkich powitanie w sali Sokoła wraz z rautem, a następnego dnia młodzieżowe strzały z góry bernardyńskiej zainicjowały właściwe uroczystości. Pochód złożony z ustawionych parami profesorów, księży, sędziów i przemysłowców udał się wzdłuż szpalerów utworzonych z miejscowej ludności i młodzieży do kościoła farnego. Mszę św. odprawił były uczeń brzeżańskiego gimnazjum, 70-letni ks. Tomasz Dąbrowski, a chór i orkiestra połączonych muzycznych towarzystw polskiego i ruskiego odśpiewały przy dźwiękach muzyki kantatę; oto wyjątek:

*„Alma Mater, Cześć ci, cześć!
Cześć wiekowej twej godności,
Że nam niesiesz słońca wieść,
Słońca – wiedzy silne zdrowie
W naszych ojców świętej mowie,
W ukochaniu i miłości”.*

Następnie pochód uczestników udał się do cerkwi Św. Trójcy, gdzie odbyło się najpierw żałobne nabożeństwo za dusze zmarłych profesorów i uczniów gimnazjum, do których należał m.in. poeta Kornel Ujejski, autor słynnego

„Chorału”, zmarły w 1897 roku. Potem poświęcono dwie wmurowane tablice, jedną w języku polskim, a drugą w języku ruskim ku czci ucznia gimnazjum, poety Markiana Szaszkiewicza. Po licznych wystąpieniach notabli, przemówienie wygłosił arcybiskup ormiański ks. Józef Teodorowicz, który powołując się na swój kilkuletni pobyt w Brzeżanach, sławił piękno tego miasta i jego okolic, zachęcając młodzież do kontynuacji osiągnięć poprzedników i respektowania ideałów przeszłości. Następnie najstarsi z uczniów gimnazjum odczytali spisany na pergaminie akt hołdowniczy w 3 językach, złożony potem w archiwum gimnazjum, którego wyjątek brzmi:

„...lat sto płynęły słowa, uczące miłości Boga i ludzi, ojczystych spraw ukochania, a prawdy strzeżenia, broniące nienawiści i obłudy, jednakie dla uszu wszystkich w swej treści i celu.”. Po południu uczestnicy obchodów zebraли się w sali Sokoła, gdzie odbyła się uczta, bogata w toasty i przemówienia, a wśród nich na szczególną estymę zasłużyła wypowiedź arcybiskupa Teodorowicza, który nawoływał do utrwalenia przyjaźni między Polakami i Rusinami, wyrażając jednocześnie obawę przed wrogią agitacją nienawiści między tymi dwoma narodami wśród dorastają-

cego pokolenia. Uroczystość zakończył koncert w sali Sokoła, który przyniósł dochód ponad 700 koron przeznaczony na fundusz stypendialny dla uczniów brzeżańskiego gimnazjum. Prócz różnych opracowań poświęconych stuleciu gimnazjum ogłoszonych drukiem, znajduje się zapowiedź prof. Uniwersytetu Lwowskiego, dr. Emila Dunikowskiego, który obiecał publikację obszernego, ilustrowanego dzieła o Brzeżanach.

Przed I wojną światową udało się wznieść nowy gmach gimnazjum, do którego planowano przeniesienie nauczania z ratusza jesienią 1914 roku. Niestety, wybuch wojny w 1914 roku zniweczył te plany. Nowy budynek zamieniono kolejno w koszary różnych wojsk, szpital i wreszcie na magazyny, wskutek czego został on tak zniszczony, że pozostały z niego tylko mury.

Godzi się wspomnieć, że wielu uczniów i wychowanków brzeżańskiego gimnazjum oddało życie w obronie Lwowa i że był wśród nich także skaut, Żyd, Marcelli Nagler.

Po I wojnie światowej kontynuowano nauczanie w ratuszu, który jakkolwiek także zniszczony, nadawał się z biedą do użytku, ale nie spełniał wymogów szkoły, głównie z powodu ciasnoty, co zmuszało do dwuzmianowej nauki. Stan taki trwał do 1922 roku, kiedy to pokonując wiele trudności finansowych wyremontowano część sal w nowym budynku, a w 1924 roku oddano w nim dalsze sale do użytkowania. Tym niemniej w ratuszu gnieździło się 11 oddziałów klasowych, zbiory naukowe i pracow-

nie. W styczniu 1925 roku można było przenieść z ratusza znowu kilka klas do nowego gmachu i wreszcie w listopadzie 1928 roku oddano do użytku cały nowy gmach gimnazjum. Sale były puste i trzeba było wyposażyć je od podstaw. Ówczesny dyrektor, Roman Koestlich wyteżył wszystkie swe siły, aby zapewnić młodzieży należyte wyposażenie jasnych, przestronnych wnętrz, zaopatrzenie zdewastowanej biblioteki, która dawniej liczyła 1800 dzieł oraz pracowni. Pomogły mu w tym dotacje różnych instytucji z udziałem właściciela Brzeżan, Jakuba hr. Potockiego włącznie. W 1929 roku arcybiskup ks. Twardowski dokonał uroczystego poświęcenia gimnazjum i bursy polskiej.



W niedługi czas potem dyrektor Roman Koestlich został powołany na stanowisko wizytatora, a jego następcą mianowano w 1929 roku Edwarda Reitera. W tym samym roku został przeniesiony do Lwowa filolog, Ukrainiec, prof. Jan Babij i w krótko potem, jako krzewiciel pojednania ukraińsko-polskiego został zamordowany przez fanatycznych nacjonalistów ukraińskich na ul. Łyczakowskiej. Dyrektor Reiter mieszkał wraz z żoną w wydzielonych pomieszczeniach gimnazjum, co pozwalało mu na stały kontakt z młodzieżą i z gronem nauczycielskim. Większość

profesorów posiadała wyższe studia. Byli oni różnej narodowości, głównie polskiej, a zdarzające się między nimi narodowościowe animozje gasił umiejętnie dyrektor Reiter. Dyrektor nie miał własnych dzieci, ale wychowywał i zapewniał byt kolejno trzem młodzieńcom-sierotom z różnych społecznych środowisk tak długo, aż osiągnęli samodzielne stanowiska pracy. Profesor Reiter, filolog i muzykolog, unowocześnił poszczególne pracownie, wzbogacił bibliotekę uczniowską i nauczycielską, wyposażył gabinet fizykalny i przyrodniczy, salę gimnastyczną i rysunkową oraz zaopatrzył w różne przyrządy i gry boisko przylegające do tylnej części gmachu. Gimnazjum składało się z ośmiu klas o profilu głównie neoklasycznym, uczono greki i łaciny oraz języka niemieckiego, a język ruski był przedmiotem względnie obowiązkowym w klasach I-V; przejściowo utrzymywano kierunek matematyczno-przyrodniczy. Wprowadzono naukę higieny, a od 1927 roku przydzielony lekarz czuwał nad zdrowiem uczniów. We współpracy z rodzicami opracowano program wychowawczy. Liczba uczniów wynosiła w przybliżeniu 600-800 osób, w tym około ponad 50% stanowili Polacy, około 20% Ukraińcy i blisko 20% Żydzi. Funkcje tercjanów (woźnych) sprawowali godnie dwaj starsi panowie: Pohłód, a zwłaszcza Wincenty Kowarzyk.

W gimnazjum działał hufiec harcerek kontynuując hasła I Drużyny Skautowej „Sokół” zawiązanej w 1911 roku, wzorowane na hasłach Filaretów:

„Ojczyzna, nauka, cnota”. W 1928 roku założono Uczniowskie Kółko Literackie, które liczyło 74 członków i odbywało regularne zebrania poświęcone wygłaszaniu

referatów i dyskusji. Gimnazjalne Kółko Dramatyczne wystawiało komedie Fredry, „Pana Tadeusza”, m.in. Medecę Eurypidesa i jasełka. Dyrektor Reiter był organizatorem i dyrygentem chóru uczniowskiego, który występował też we Lwowie. W okresie karnawału dyrektor urządził bale dla grona nauczycielskiego inicjując je staropolskim mazurem. Młodzież brała udział w świętach sportowych i zawodach lekkoatletycznych, zrzeszona w Kole Czerwonego Krzyża, w Szkolnej Kasie Oszczędności i w pracowni introligatorskiej wykazywała dużą aktywność.

Na podkreślenie zasługuje więc grono nauczycielskie z młodzieżą mimo, że przestrzegano surowo dyscypliny. Nikt z uczniów nie śmiał pokazać się bez tarczy z emblematem gimnazjum naszytej na rękawie, a już broń Boże wałęsać się ulicami w godzinach późnowieczornych. Sentyment młodzieży do kadry nauczycielskiej, do zabytków Brzeżan i przepięknych okolic tego miasta znajduje dobitny wyraz w drukowanej „Jednodniówce Młodzieży”, na którą składają się wypowiedzi abiturientów gimnazjum. W okresie świąt Bożego Narodzenia orkiestra i chór gimnazjalny odwiedzały wielu swoich nauczycieli grając i śpiewając kolendy. W maju lub w czerwcu urządzono zbiorowe, całodzienne wycieczki do lasów okalających miasto, a wyżywienie zapewnił drabiniasty wóz wypełniony po brzegi żywnością. Podczas jednej z takich wycieczek do Olchowca i Rurysk położonych na polanie u szczytu góry rozpalono



wieczorem ogromne ognisko i gromko śpiewano. W pewnej chwili całe zgromadzenie zostało otoczone kordonem policji, która sądziła, że Ukraińcy podpalili polską wieś. To były już czasy narastających konfliktów ukraińsko-polskich.

Wycieczki krajoznawcze organizowano też do Krakowa, Katowic, Poznania i Warszawy lub w Bieszczady i Karpaty. Wycieczka do Zbaraża w 1933 roku była połączona z obejrzeniem ruin zamku, ożywionych przypomnieniem scen opisanych przez Henryka Sienkiewicza w „Ogniem i Mieczem”.

Brzeżańskie gimnazjum może być wzorem nie tylko wysokiego poziomu nauczania, lecz również postawy obywatelskiej, patriotyzmu, tolerancji i poszanowania tradycji, co dzisiaj nie jest powszechne. W latach poprzedzających II wojnę światową nadano gimnazjum brzeżańskiemu imię jego byłego ucznia, marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego.

I tak oto, gdy gimnazjum osiągnęło pełny rozkwit, wybuchła II wojna światowa. Brzeżany, to małe miasto pełne uroku, ze swoimi zabytkami i z gimnazjum, owiane czarem legend, a zwłaszcza jednej z nich, utrwalonej przez Juliusza Słowackiego w „Janie Bieleckim”, pozostało poza wschodnią granicą Polski.

Prawda i legenda

Czesław E. Blicharski

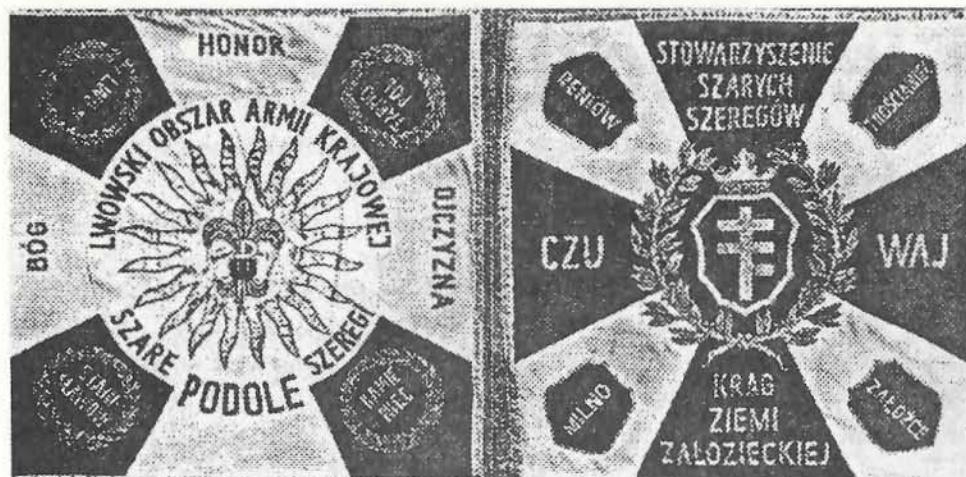
Publicystyka i prace popularno-naukowe na tematy kresowe nie tracą swej dynamiki wydawniczej. O dramacie polskiej ludności Kresów w czasie ostatniej wojny, zwłaszcza tej, dotyczącej deportacji do ZSRR, nieludzkich tam warunków przymusowej pracy i bytowania, istnieje poważna źródłowa literatura oraz pamiętniki i wspomnienia. Gorzej z tematem nie mniej dramatycznym choć jakościowo innym. Chodzi o zbrodnie ludobójstwa UPA na okupowanych Kresach Półw. Polski i w woj. przemyskim po 1945 roku. Temat ten w specyficzny, sobie właściwy sposób podjęła Gazeta Wyborcza w cyklu „Wołyń. Szukanie prawdy” eliminując kompletnie Małopolskę Wschodnią, tak jak gdyby tam się nic nie działo. Nawet znany z umiaru w tej materii prof. R. Torzecki zdenerwował się pisząc: „Darujemy te mity – jak to Ukraińcom było źle w Polsce...Ale może warto przypomnieć, że od połowy XVII wieku aż po koniec II wojny światowej byliśmy usuwani z terenów wschodnich. Kosztowało to naród bardzo dużo. Liczby i okoliczności są przerażające (Gazeta Wyborcza z 26.X.1995 s.14).

Niezwykle płodny w tym temacie jest E.Prus, który w jednej ze swoich ostatnich książek pt. „Legenda Kresów. Szare Szeregi w walce z UPA” Wrocław 1995, nie ujawnił źródeł ani literatury przedmiotu na podstawie której książka powstała. Może parę słów o samym autorze, który tak napisał:

„Najtrudniej pisać o sobie. Rzeczywiście jestem historykiem, ale nie po „moskiewskich” studiach lecz solidnych polskich i to na dwóch fakultetach (historia, politologia) w Krakowie i Warszawie. W Moskwie jakoś dotąd jeszcze nie byłem. Doktoryzowałem się w Warszawie, habilitowałem w Poznaniu. Do PZPR ani żadnej innej partii politycznej działającej w PRL nie należałem (obecnie w Polskim Stronnictwie Kresowym), w dobie okupacji niemiecko-ukraińskiej i sowieckiej Małopolski Wschodniej byłem członkiem Szarych Szeregów, po wojnie trochę odsiedziałem „za swoje” w...Jaworznie. tam poznałem upowców i ounowców i to z tej strony najgorszej. Chwalili

się swoim rizinstwem, nie kajali się, nie żałowali, ale obiecywali dalej „rizaty Lachiw”. W stanie wojennym „agent KGB” (tak mnie również nazywają banderowcy) był zwolniony z pracy za „Solidarność” (zob. Głos nr 231 z dn. 1.XII.1994 Toronto, Kanada). E.Prus taktownie przemilczał pisząc do tej emigracyjnej gazety polskiej, że w 1979 r. opublikował m.in. taki tekst: „Partie komunistyczne krajów wspólnoty socjalistycznej...dowodły, że tworzenie rozwiniętego socjalizmu stanowi dialektyczną prawidłowość, historycznie niezbędny etap rozwoju socjalizmu – pierwszego stadium jednolitej komunistycznej formacji społecznej. Nieustanny rozwój społeczno-gospodarczy krajów socjalistycznych.... potwierdził realną zasadę marksistowsko-leninowskiej teorii rewolucji i budowy socjalizmu...Rację miał Lenin pisząc w artykule: Ogólnorosyjska X Krajowa Konferencja RKP(b) że...oddziałujemy na rewolucję międzynarodową głównie poprzez nową politykę gospodarczą...” (E. Prus. Najaktualniejsze problemy współczesnego światowego ruchu komunistycznego i robotniczego. Zaranie Śląskie r.1979 s.366-372). Przemilczał również, że na początku 1985 r. wybrany został do prezydium PRONu w Akademii Ekonomicznej w Katowicach, gdzie prowadził w jego ramach Klub Polityczny, przemilczał rozmaite inne szczegóły np. to, że z Instytutu Śląskiego usunięty został nie za Solidarność tylko **przez** Solidarność, a to zasadniczo zmienia postać rzeczy.

Nie pierwszy to przykład błyskawicznej ewolucji poglądów byłych utrwalaczy władzy ludowej. Interesujące są manipulacje jakich dopuścił się Prus we wspomnianej „Legendzie Kresów”. Jako Tarnopolanin z dziada-pradziada, od dwudziestu lat zajmuję się zbieraniem źródeł i wszelkich opracowań dotyczących rodzinnego miasta i woj. tarnopolskiego. Wydałem w Polsce następujące książki: 1. Tarnopol zatrzymany w kadrze pamięci, 1992. 2. Tarnopol w latach 1809-1945. Tarnów 1993, s.351, dokumentacja fotograficzna. 3. Tarnopolanie na starym ojców szlaku, Gliwice 1994, s.399, dokumentacja fotograficzna. 4. Mi-



Sztandar Szarych Szeregów kręgu Ziemi Załozieckiej w Gliwicach

scellanea Tarnopolskie, Gliwice 1994, s.472. W Anglii wydałem pozycję pt. „Harcerstwo Tarnopolskie 1911-1944”, Londyn 1991, s.64 (z przedmową J. Wittiga Przewodniczącego Harcerskiej Komisji Historycznej przy Naczelniku ZHP w Londynie). Na podstawie moich badań, przeprowadzonej kwerendy źródeł i bibliografii stwierdzam, że w Tarnopolu oraz w woj. tarnopolskim w czasie okupacji sowieckich i niemieckiej nie było organizacji harcerskiej „Szare Szeregi” jak to sugeruje Prus w swojej książce, ba i sam oświadcza we wspomnianym „Głosie” kanadyjskim, że był ich członkiem (ile lat liczył sobie wtedy?).

E. Prus pochodzi z miasteczka Załoźce pow. Zborów woj. tarnopolskie. Dekanat Zborów w 1939 r. liczył 11 parafii rzym-kat., a sama parafia Załoźce liczyła 4.074 Polaków. Już w czasie okupacji niemieckiej UPA dokonywała mordów w polskich wsiach pow. tarnopolskiego – np. w dn. 2.XI.1943 w Baworowie zamordowany został ks. Karol Procyk. Nie ma racji Prus pisząc, że od kwietnia do sierpnia 1944 r. w dolinie Seretu panował względny spokój (s.17).

Celem stworzenia „szaro-szeregowej” harcerskiej epopeji założenie Prus przemienił zorganizowane tam Istriebitelnyje Bataliony w legendarne Szare Szeregi. Bataliony te stworzone zostały przez NKWD, ale – trzeba to z naciskiem podkreślić – że w związku z potwornymi mordami ludności polskiej przez UPA w szeregi Istriebitelnych Batalionów, zwanych również Batalionami Szturmowymi wstępować zaczęli również Polacy – głównie młodzież ze śmiertelnie zagrożonych wsi polskich, ogołoconych z ludzi starszych (powyżej 18 roku życia) przez przeprowadzoną przez wojen-komaty branke do LWP. To,

że młodzież ta została wprzagnięta w rydwan imperialnej polityki rosyjskiej, nie może pozbawić jej tytułu do chwały i wdzięczności za uratowanie tyłu istnień ludzkich przed mordami band nacjonalistów ukraińskich. Ale też nie może być ona przedmiotem manipulacji, jakiej została poddana w tzw. „Legendzie Kresów”. A czym jest impreza zorganizowana przez p. Prusa 11 listopada 1995 r. w Gliwicach, w czasie której dokonano poświęcenia sztandaru „Szarych Szeregów” Ziemi Łańcuckiej, organizacji, która nigdy nie zaistniała? E.Prus zamiast uwypuklić cały dramat Polaków, którzy, jak stwierdził A.Korman „znaleźli się w stanie wyższej konieczności (zob. A.Korman „Polscy Istrebiteli z lat 1944-45 w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu”, Semper Fidelis nr 3/26/1995), zamazuje całą prawdę i beztrąsko przemienia Istrebitelne Bataliony w Szare Szeregi. Potwierdza to m.in. dedykacja w książce Prusa „Atamania UPA” wyd. I.W-wa 1988, str. 3, która brzmi: „Towarzyszom Broni z Oddziału Samoobrony Milna i Łańcuckiego Batalionu Szturmowego...” (czytaj: Istrebitelnego Batalionu!). Tym sposobem kompromituje siebie, jako historyka i przyczynia się świadomie do zamazywania historii Kresów z czasów okupacji. Dla nas kresowiaków, idea kresowa jest świętością, dlatego historia Kresów musi być rzetelna i sumienna, gdyż inaczej sami obdarzymy argumentami przeciwników oceny zbrodniczej roli UPA w czasie ostatniej wojny.

Ks. Franciszek Bajer, którego wspomnienia in extenso cytuję, bez podania odsyłacza E.Prus, niestety nie żyje. W/g Prusa książdz ten miał być twórcą konspiracyjnego harcerstwa w Dolinie Sekretu. Założce nie miały tradycji harcerskiej przed wojną (vide Rozkaz 1.1. ZHP Komendy Chora-gwi Lwów, z dn. 2.1.1938). Nie wspomina o har-

cerstwie w Założcach historyk Załoziec dr S. Spital w swej historii Załoziec. Nie ujmując niczego z zasług patriotycznych i duszpasterskich tego kapłana, organizatorem „Tajnej Organizacji Harcerskiej w Tarnopolu” (Młody Las) był z-ca hufcowego ZHP w Tarnopolu Rudolf Weidel (zamęczony później przez NKWD) przy pomocy ks. A. Gryźlaka, katechety Liceum Pedagogicznego (zmarł w obozie Gross-Rosen), zaś St. Konieczny w Zbarażu i E. Wawrzynów w Podwołoczyskach. Ponieważ E. Prus nie podał żadnych źródeł ani literatury, jego twierdzenie, że w czasie okupacji niemieckiej ks. Bajer dowodził załoziecką drużyną Bojową Tajnej Organizacji Harcerskiej, nie pokrywa się z prawdą. Ks. Bajer gromadził, jak wielu księży wtedy, wokół kościoła w Założcach najmłodszych, by ratować ich przed deprawacją. Takie fakty są znane, ale do Szarych Szeregów są bardzo daleko. Tajna Organizacja Harcerska została rozbita przez NKWD w marcu (w kwietniu 1940 r. – w typowym sowieckim procesie padło 5 wyroków śmierci, a pozostałych członków wywieźli do łagrów w styczniu 1941). Bardzo niewiele przeżyło tę katorgę. Dzieje Tajnej Organizacji Harcerskiej opublikowałem w mojej książce „Tarnopolanie na starym ojców szlaku” (zob. str. 189-195, 383-385). W świetle dotychczasowych ustaleń, bardzo wątpliwe, by organizacja ta, pozbawiona swoich władz, istniała w Założcach do roku 1944. Poza tym, na co zwracam uwagę, raz E. Prus pisze o Szarych Szeregach w Założcach, a raz o załozieckiej Drużynie Bojowej Tajnej Organizacji Harcerskiej (str. 32, 47).

W „Legendzie Kresów” roi się od potworków językowych w terminologii harcerskiej, stworzonych przez E. Prusa: Krąg Ziemi Załozieckiej, stanica, Konspiracyjna Harcerska Drużyna Bojowa, Orliki, Sokolęta, Krogulce, Jastrzębie itp. Te ostatnie nazwy nobilitują E. Prusa raczej na ornitologa aniżeli znawcę tematu harcerskiego. Do tego dochodzą jeszcze kryptonimy konspiracyjne takie jak np. „Ziuk” przybrany przez samego E. Prusa. Ileż to lat liczył sobie „druh Ziuk”? Pomimo wieku mierzył wysoko, przybierając pseudonim Józefa Piłsudskiego. I pomyśleć, że to wszystko działało się niemal publicznie (marsze z totemami) pod czujnym okiem NKWD i „przyjaźnie” do nas nastawionych szowinistów z UPA!

Jest jeszcze w „Legendzie” Kresów sporo błędów, ale również fragmenty, gdzie należałoby E.

Prusowi, dawnemu piewcy ustroju komunistycznego krzyknąć – ciszej nad tą trumną! Chodzi o opis mordu dokonanego przez UPA na młodym Polaku oraz ceremonię jego pogrzebu, na którym zmasakrowana ofiara wyglądała, jak cytuję: „...młody bóg a raczej jak śpiący królewicz z bajki ze swoimi konopnymi kędziorami, który czeka na pocałunek królowny, mający przywrócić go do życia (str. 74). A kilkanaście stron przed tym E. Prus pisał, że ciało ofiary z kompletnie rozbitą głową było krwawą miazgą (str. 55). Nie w ten sposób, dając upust własnej chorej fantazji literackiej, szukając masowego czytelnika („Legendy Kresów w każdym polskim domu!”), czci się pamięć polskich męczenników, ofiar ludobójczej formacji, jaką była UPA. Dlatego ciszej nad tą trumną!

Może tylko jeszcze jedna sprawa. Wśród fotografii zamieszczonych w „Legendzie Kresów” jest jedna opatrzona nr. 41. Podpis pod nią jest następujący: „Sotnia „Bondarenki”. która spaliła Milno wcześniej chronione przez kompanię B.Ch. pod dowództwem Jana Zaleskiego i rżnęła Polaków w Gajach Roztockich, wiele razy napadała na Załozce. Identyczna fotografia zamieszczona jest w książce H. Pajaka pt. „Za Samostijną Ukrainę” wydana 3 lata w Lublinie przed ukazaniem „Legendy Kresów” Prusa. Pod nią jest podpis: Nieznana sotnia z grupy „Łysonia” (z „Litopys UPA”). Który zatem autor mija się z prawdą?

Na koniec – E. Prus nie wyjawiał do tej pory w Polsce, że był więźniem Jaworzna i siedział tam z upowcami. Tyle jest rozbieżności w ocenie akcji Wisła – dlaczego Prus mając takie doświadczenie z nimi, że „chwalili się swoim ryzyństwem, nie żalowali ale obiecywali dalej ryzyaty Lachów” (zob. jego list w cytowanym kanadyjskim Głosie) nie opublikował na ten temat książki?

Czy znowu chodzi o budowanie wokół własnej osoby następnego mitu? Nie takich historyków, z taką pełną dyspozycyjnością w PRL-u środowiska kresowe i patriotyczne społeczeństwo polskie oczekuje. Dla udokumentowania zbrodniczej roli UPA w czasie II wojny światowej, dla oceny jej ludobójstwa wobec obywateli polskich na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej niezbędny jest historyk innego formatu intelektualnego i moralnego. Miejmy nadzieję, że się doczekamy.

GAZETA LWOWSKA W LATACH 1941-1944

Grzegorz Hryciuk

1.VIII.1941 r. w dniu proklamowania dystryktu Galicji, ze stolicą we Lwowie ukazało się specjalne wydanie „Kuriera Lwowskiego”, który stać się miał – jak zapowiadano – oficjalnym organem niemieckich władz okupacyjnych w języku polskim.

Ostatecznie po ponad tygodniowych przygotowaniach 9.VIII. 1941 r. w sprzedaży zamiast anonowanego „Kuriera Lwowskiego” pojawiła się polskojęzyczna „Gazeta Lwowska” – „Dziennik dla Dystryktu Galicja”. Początkowo „Gazeta Lwowska” ukazywała się w nakładzie 50 tys. egzemplarzy, później nakład jej stopniowo wzrastał, osiągając już w grudniu 1941 r. 70 tys. egz., a w sierpniu 1943 r. sięgając blisko 90 tys. egz.¹⁾ Wzrost ten jednak okupiony został stopniowym, ale wyraźnym zmniejszeniem objętości pisma.

Ten wysoki, jak na warunki okupacyjne nakład, tłumaczyć można zapewne świadomą polityką niemiecką i wzmocnionym naciskiem propagandowym na ludność polską, zwłaszcza latem 1943 r. (m.in. sprawa katyńska). Mógł on być jednak również pochodną pozytywnej oceny przez część społeczeństwa polskiego Ziemi Czerwieńskiej niektórych treści głoszonych na łamach lwowskiej „gadzinówki” (przede wszystkim działu kulturalnego prowadzonego przez znanego pisarza Stanisława Wasylewskiego). Przypominanie i akcentowanie polskich tradycji i przeszłości Galicji przez „Gazetę Lwowską” miało wyraźną wymowę w obliczu zbliżającego się frontu, jak i odczuwanej coraz bardziej doktliwie aktywności ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego.

Nie bez wpływu pozostawała także relatywnie niewysoka cena GL, która wynosiła 20 groszy, a od połowy 1943 r. 25 groszy za egzemplarz.²⁾

„Gazeta Lwowska” zwana niekiedy „Lembergierką” była niezwykle popularna we Lwowie. W pierwszym okresie okupacji niemieckiej, jak pisało w jednym z raportów konspiracyjnych, „polski gadzinowiec lwowski” był „chętnie i powszechnie czytowany”, gdyż nie zawierał „nieustannych napaści na przeszłość polską jak niedawny „Czerwony Sztandar” a podawał „tylko miłą uchu propagandę antysowiecką”³⁾. Jej późniejsza poczytność wynikała przede wszystkim z jej stosunkowo łatwej dostępności. Zdarzały się jednak, zwłaszcza w okresie

ważnych wydarzeń politycznych i wojskowych kłopoty z nabyciem lwowskiej „gadzinówki”. W 1944 r. za „Gazetę Lwowską” przychodziło płacić 60 gr do 1 zł za egzemplarz.⁴⁾ Większość egzemplarzy GL we Lwowie była rozprowadzana przez kolporterów ulicznych. Wśród kolporterów oprócz młodzieży była stosunkowo liczna grupa wywodząca się ze zdeklasowanej inteligencji. Potwierdza to m.in. relacja W.Szolgini, który przez pewien czas był sprzedawcą ulicznym GL: „Co dzień raniuteńko, w długim ogonku do ekspedycji w dawnym „Wieku Nowym” na ulicy Sokoła pod czwartym widziało się sporo różnych byłych urzędników, licznych nauczycieli, nie mniej takich i owakich artystów, a także różnych innych ludzi, którzy przed wojną naprawdę coś znaczyli”⁵⁾.

GAZETA LWOWSKA

DIENNIK DLA DYSTRYKTU GALICYJSKIEGO

No. 11

Środa, 8 kwietnia 1943 r.

Str. 11

Ofensywa zimowa Sowietów utknęła na martwym punkcie

W ostatnim numerze „Gazety Lwowskiej” (nr 10) czytelnicy dowiedzieli się, że ofensywa zimowa Armii Czerwonej, która rozpoczęła się 16 grudnia 1942 r., nie przyniosła spodziewanych sukcesów. W artykule pod tytułem „Ofensywa zimowa Sowietów utknęła na martwym punkcie” podano, że do 15 stycznia 1943 r. Armia Czerwona nie była w stanie przełamać linii obrony Niemców. W artykule podano również, że Niemcy w tym czasie przeprowadzili kilka operacji ofensywnych, które przyniosły im sukcesy. W artykule podano również, że Niemcy w tym czasie przeprowadzili kilka operacji ofensywnych, które przyniosły im sukcesy.

Redaktorami naczelnymi „Gazety”, wydawanej oficjalnie przez koncern Zeitungsverlag Warschau-Krakau G.m.b.H, przez cały czas istnienia pisma byli Niemcy (w 1941 r. Feliks Rufenach, w 1941-42 r. Volksdeutsch A. Schedlin-Czarliński, w latach 1942-44 osobiście Pełnomocnik Szefa Prasy na dystrykt Galicji A.G. Lehmann).⁶⁾ Stosunkowo niewielki pozostawał skład redaktorski GL. Poza S. Wasylewskim w redakcji pracowała m.in. Irma Nalepowa, która parała się tłumaczeniami, pisywała też artykuły rocznicowe o tematyce historycznej. Redaktorem kroniki miejskiej był Stefan Najder, współpracujący z pismem przez cały okres jego wydania. Początkowo jako „reporter lokalny”, następnie zaś jako redaktor działu depeszowego pracował Zygmunt Szargut. W redakcji GL ponadto byli zatrudnieni Jan Kilarski, Edward Twarowski (Twardowski), Ada Nadalińska, Jerzy Bielański, Jacek Machniewicz oraz Bielski.⁷⁾ Wielu dziennikarzy oraz pracowników technicznych dziennika mimo oficjalnej współpracy z aparatem propagandowym

okupanta była jednocześnie związana z polskim podziemiem niepodległościowym. W „Gazecie Lwowskiej” publikowali regularnie także: Tadeusz Krzyżewski, Witold Ziembicki, Leonia Rasińska i Seweryn Przybylski. T. Krzyżanowski i W. Ziembicki jeszcze przed 1939 r. dali się poznać jako autorzy przyczynków i szkiców z przeszłości Lwowa i Ziemi Czerwieńskiej.⁸⁾

Wśród autorów publikujących na łamach GL utwory poetyckie była „grupka najmłodszych literatów, pragnąca wypróbować swe siły.”⁹⁾ Niektórzy w okresie powojennym zyskali nawet pewien rozgłos np. A. Hollanek. Część z nich, choćby Henryk Greb¹⁰⁾, związana była z grupą poetycką „Żagiew”, wydającą swoje patriotyczne wiersze w podziemiu.¹¹⁾ Funkcję organizatora i animatora grupującego wokół siebie uzdolnioną literacko młodzież pełnił S. Wasylewski.¹²⁾

Postępowanie ich nie znalazło szerszego zrozumienia. Pod ich adresem padły ostre słowa oskarżenia. W podziemnym „Biuletynie Informacyjnym Ziemi Czerwieńskiej” na wiosnę 1943 r. pisano: „Na tle godnej i wzniosłej abstynencji pisarzy polskich dziwnie podle i nikczemnie wyglądają wszystkie te sławy pisarskie, wchodzące jak chwasty na gnoju wydawnictw okupacyjnych. Korzystając z usunięcia się pisarzy z prawdziwego zdarzenia wypełzły różne mizerne talenciki z niebytu i w myśl znanego przysłowia: „na bezrybiu i rak ryba” zdobywają to, co w ich mniemaniu ma być wawrzynem pisarskim. Nie mamy zamiaru uczynić tym panom i paniom zaszczytu wymieniania ich nazwisk prawdziwym polskim słowem w prawdziwym polskim piśmie. Wystarczy ciekawym wziąć do ręki jakikolwiek numer „Gazety Lwowskiej” a znajdą je tam razem z imionami. Są to lokalne „sławy” poetyckie, wyrosłe na braku jakiegokolwiek konkurencji, grafo-mańskie, płaskie wierszyki, których nie wydrukowałoby przed wojną żadne szanujące się pismo brukowe. Ludziom tym zdaje się być może, że spełniają jakąś szczytną powinność, że ratują kulturę polską, że dają spragnionemu czytelnikowi polskiemu piękno i wzruszenie. Ludziom tym jednak trzeba jasno powiedzieć – jesteście zakałą polskiej kultury, która ma innych obrońców. Wychodzą pod ziemią tomiki prawdziwych polskich poetów, zawierające prawdziwe wiersze. Jest prawdziwa liryka i prawdziwa satyra. Tomiki te są rozrywane po prostu przez społeczeństwo polskie i ludzie płaczą, gdy się im recytuje te wiersze. Tu na łamach podziemnych tomików wierszy wytrawni mistrze dają koncert

poetycki, a młodzi zdobywają pierwsze pisarskie wawrzyny. Tu jest słowo polskie, któremu wasze wiersze są jak rzucona w twarz obelga.”¹³⁾

W cytowanym powyżej artykule „W obronie słowa polskiego” została zawarta także najostrzejsza bodaj podczas okupacji ocena „Gazety Lwowskiej” i całej prasy „gadzinowej”.

Porównując „prasę okupacyjną wydawaną w języku polskim”, z prasą podziemną – „prawdziwym słowem polskim”, które „zeszło w podziemie”, „Biuletyn” pisał: „Z jednej strony jest jedno podle, służalcze zakłamanie, jedno wielkie oszustwo popełnione na mowie polskiej dla przejrzystych interesów niemieckich – z drugiej zaś ciągła praca serc i umysłów nad zachowaniem polskiej prawdy. Wystarczy wziąć do ręki jakikolwiek numer „szmatławca”, by zapachniało odeń odorem kłamstwa i cynizmu. Pompatyczne tytuły, kłamliwe wiadomości „z powiatów”, ordynarne oszczerstwa pod adresem wszystkiego, co ludzkość wydała wielkiego, cały ten zakalec propagandy, którego niepodobna strawić.”¹⁴⁾

Ten tak jednoznacznie negatywny osąd sformułowany w latach wojny nie uwzględniał jednak pewnych okoliczności, które po latach pozwalają na nieco bardziej zniuansowaną ocenę „Gazety Lwowskiej”.

Nadzwyczaj rzadko w porównaniu do innych „gadzinówek” na łamach „Gazety Lwowskiej” pojawiały się komentarze czy artykuły wstępne. Przed pisaniem artykułów politycznych zdołał się uchylić, mimo nacisków niemieckich S. Wasylewski, miał on też niekiedy łagodzić lub wręcz usuwać niektóre szczególnie drastyczne materiały propagandowe.¹⁵⁾ Polscy redaktorzy „Gazety Lwowskiej” niejednokrotnie na własną odpowiedzialność publikowali artykuły z „drugim dnem” lub ozdabiali je ilustracjami, które były odczytywane przez polskich czytelników jako swego rodzaju manifestacje patriotyczne. Przykładem było np. świadome umieszczenie w opisie wizyty gubernatora Franka w arcylojalnym jakoby dystrykcie Galicji informacji, że Generalny gubernator porusza się po jego drogach autem pancernym.¹⁶⁾ Numer GL, w którym zamieszczono to sprawozdanie oraz kolejny zawierający wymuszone przez niemieckie władze propagandowe sprostowanie redakcji cieszyły się ogromną popularnością polskich czytelników i były kupowane na prowincji po wielokrotnej cenie.¹⁷⁾ Niezwykłym jak na warunki okupacyjne wyczynem było też kilkakrotne opublikowanie w GL listów J. Słowackiego do matki.

Na ten swoisty „mały sabotaż” redaktorów

„szmatki” zwracało uwagę polskie podziemie. W jednym z raportów z 1943 r. pisano m.in.:

„Zaznaczyć jednak należy, że w gazecie Lwowskiej przemycane są bardzo zręcznie pewne informacje, które pozwalają uważnemu czytelnikowi zorientować się w wielu rzeczach n.p. w sytuacji na frontach lub w wydarzeniach politycznych na terenie Osi. Również bardzo zręcznie podawane są pewne wiadomości z Reichu.¹⁸⁾

Największe bodaj wrażenie i to nie tylko w kręgach polskich, ale także wśród Ukraińców, wywołując ich wzburzenie, wzbudził jeden z numerów „Gazety Lwowskiej” wydany kilka dni po tragicznej śmierci gen. Sikorskiego. W sprawozdaniu AK z lipca 1943 r. pisano m.in.: „Duże kłopoty miała redakcja „Gazety Lwowskiej” ze śmiercią Gen. Sikorskiego. Miał się ukazać artykuł o generale, przygotowano nawet dużą fotografię Sikorskiego w mundurze ze wszystkimi odznaczeniami z r. 1924., jednak cenzura nie puściła tego numeru z powodu munduru polskiego.

Ciekawa była „Gazeta Lwowska” z dn. 11 lipca b. r. Nr 160. Na trzeciej stronie dziennika umieszczono artykuł p.t. „Litteris et artibus – czyli dzieje gmachów Politechniki”. W końcu tego artykułu znajdujemy taką wzmiankę o poświęceniu Domu Studentów Politechniki:

„Zaingurowano dzieło samopomocy koleżeńskiej gorliwie: Ksiądz arcybiskup Isakowicz miał kazanie, proste a serdeczne, a potem recytował ów wiersz dumny o posagu z jednej bryły, o rękach piorunowych – student inżynierii Władysław Sikorski”. Następny artykuł nosi charakterystyczny tytuł –

„ODSZEDŁ GOSPODARZ – SIEWCA DO OSTATKA”. Jest to wyjątek z „Chłopów” Reymonta opisujący śmierć Boryny. Po tym artykule wiersz „Gorące dnie nastają” – wiersz z pieśni Sobótkowych – Jana Kochanowskiego. Stwierdzoną jest rzeczą, że Ukraińcy zwrócili uwagę gubernatorowi Wächterowi na ten numer „Gazety Lwowskiej”.¹⁹⁾

Na janusowe oblicze i nader specyficzną rolę spełnioną przez „Gazetę Lwowską” zwrócili uwagę autorzy obszernego raportu „Stan polskiego posiadania kulturalnego we Lwowie (maj 1943)”: „Gazeta Lwowska” odpowiednio traktowana, jest we Lwowie „umiejętnie” czytana, służy do orientacji w podmuchach humoru politycznego okupanta; na dalszych jednak kresach odgrywa dziwną rolę – jedyną nosicielki polskiego słowa. W Kutach np.

podają ją sobie wzajemnie, jak u nas gazetki konspiracyjne. Podpatrzenie polskiej choć legalnej literatury pociąga natychmiast donosy Ukraińców do Gestapo, które prowadzą „nacionalistów” do więzień i obozów.²⁰⁾

Warto wspomnieć na marginesie, że „Gazeta Lwowska” została w specyficzny sposób wykorzystana przez podziemie polskie w patriotycznej – mającej też wydźwięk antyukraiński – akcji propagandowej w listopadzie 1943 r. W dniu 11.XI.1943 r. część nakładu GL rozprowadzana przez kolporterów ulicznych we Lwowie została opatrzona nadrukiem, na którym widniał orzeł polski, data 11.XI oraz napis „Polska zwycięży”. Gazety z takim nadrukiem zostały równocześnie podrzucone do skrzynek pocztowych Ukraińców podejrzanych o sympatie nacjonalistyczne i działalność antypolską.²¹⁾

Jeszcze bardziej jednoznaczna była ocena wielu świadków, którzy zeznając już po wojnie w 1945 i 1946 r. w czasie śledztwa lub na procesie S. Wasylewskiego zwracali uwagę na wyjątkowo wręcz pozytywny odbiór GL na Kresach Południowo-Wschodnich. Stefan Marian Nowicki stwierdził m.in.: „Gazeta Lwowska” wyraźnie odróżniała się od innej prasy oficjalnej niemieckiej wydawanej w języku polskim na terenie tzw. GG. Różnica polegała przede wszystkim na tym, iż gazeta ta posiadała dobrze rozbudowany dział kulturalno literacki o charakterze wybitnie polskim. Niezależnie od tego różnica zaznaczała się i w tym, że „Gazeta Lwowska” nie zamieszczała artykułów wybitnie napastliwych poniżających Polaków i zniesławiających ich. (...) Dziwiłem się czasem nawet, że tego rodzaju pismo zamieszczało takie artykuły i że mogły one ująć cenzurze niemieckiej.²²⁾ Tadeusz Dwernicki uważał, że dział literacko-kulturalny „Gazety Lwowskiej” był w ten sposób prowadzony, że mógłby uchodzić i w wolnej Polsce za dobre popularne pismo oświatowe. Dział ten zajmował w „Gazecie Lwowskiej” zawsze dość miejsca. Cieszył się popularnością ludności Lwowa tj. polskiej ludności Lwowa. Wielu spośród moich znajomych prenumerowało „Gazetę Lwowską” właśnie tylko ze względu na jej dział literacki.²³⁾

W czerwcu-lipcu 1996 r. nakładem Uniwersytetu Wrocławskiego ukaże się drugie – poprawione i znacznie uzupełnione (m.in. materiały znajdujące się w archiwach lwowskich), opatrzone ilustracjami – wydanie pracy G. Hryciuka, „Gazeta Lwowska 1941-1944”.

PRZYPISY

- 1) Derżawnyj Archiw Lwivśkoj Oblasti (dalej: DALO), f.R-35, op.9, s.181, k.1.5; ibidem, op.6, s.32, k.45; „Goniec Krakowski”, nr 192, 17-18 VIII 1941..
- 2) GL, 1 X 1941, nr 46; 1 VII 1943, nr 150.
- 3) Archiwum Akt Nowych (dalej: AAN), sygn.202/II-6, k.133.
- 4) Lwivśka Naukowa Biblioteka NAN Ukrainy, sygn. f.174, Dud.14, Dzienniki F.Dudka, zapis z 6 III 1944.
- 5) W. Szolginia, Pudełko lwowskich wspomnień pełne, Wrocław 1994, s.146.
- 6) Szerzej na ten temat – por. G. Hryciuk, „Gazeta Lwowska” 1941-1944, Acta Universitatis Wratislaviensis No 1273, Historia LXXXIX, Wrocław 1992, s.28-50.
- 7) DALO, sygn. f.R-35, op.9, s.231, k.9, 13, 17, 25; Biblioteka ZN im. Ossolińskich, Dział Rękopisów (dalej Oss. Rkp.), sygn. 14745/II, Papiery..., t.1, notatki do zeznań Stanisława Wasylewskiego, k.153-160; ibid. sygn. 14750/II, Listy..., list NN redaktora do S. Wasylewskiego z 5 IV 1944, k.93; ibid., sygn. 14755/II, Korespondencja Stanisława Wasylewskiego z lat 1914-1953, listy Z.Szarguta do S.Wasylewskiego z 10 VI 1948 i 27 VI 1948, k.271, 273; ibid., sygn. 14757/II, Korespondencja Stanisława Wasylewskiego z lat 1914-1953, list T.Krzyżewskiego do S.Wasylewskiego z 10 V 1949, k.241-242.
- 8) Por. m.in. Ł. Charewiczowa, Historiografia i miłośnictwo Lwowa, Lwów 1938, s. 213; Z. Albert, List do redakcji A. H. M., „Archiwum Historii Medycyny”, t. 45, 1982, z. 1-4, s. 111.
- 9) AAN, sygn. 103/XV-47, k. 46.
- 10) Z.Greb-Nyczowa, Ocalić od zapomnienia, [w:] „Rocznik Lwowski” 1993-1994, Warszawa 1994, s.193-202.
- 11) Grupa „Żagiew” powstała na przełomie 1943 i 1944 r.

Jednym z jej założycieli był H.Greb. Grupę poetycką „Żagiew” tworzyli H.Greb, Bronisław Król, Mieczysław Miszewski, Henryk Gruszkowski, Leszek Goliński, Maria Bielecka-Kasprowiczowa. Według J.Wasyłkowskiego do grupy należał także L. Majewski. Grupa wydała w odbitkach fotograficznych w marcu 1944 r. pierwszy zbiorek „A imię jego jest 44” oraz w maju 1944 r. tomik „Przekroje”. Spośród członków grupy na łamach GL publikowali H.Greb, B.Król, L.Majewski. Z.Greb-Nyczowa, op.cit., s.193-202; M.Bielecka-Kasprowicz, W drodze, Warszawa b.r.w., s.3-7 (Przedmowa J.Wasylewskiego).

- 12) AAN, sygn. 203/XV-47, k.46.
- 13) W obronie słowa polskiego, „Biuletyn Informacyjny Ziemi Czerwińskiej” (dalej: BIZC), 23 V 1943, nr 11 (40). Słowa potępienia pod adresem „grupki najmłodszych literatów” padły także w raporcie „Stan polskiego posiadania kulturalnego we Lwowie (maj 1943)”, w którym stwierdzono – niezupełnie zgodnie z rzeczywistością – że „grupka” ta „stoi poza społecznym kręgiem polskim”. AAA, sygn. 203/XV, k.46.
- 14) BIZC, 23 V 1943, nr 11 (40).
- 15) Archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu – Instytut Pamięci Narodowej (dalej: AGKBZPNP-IPN), sygn. SOKr. 68, k.127.
- 16) GL, nr 178, 1 VIII 1942.
- 17) AGKBZPNP-IPN sygn. SOKr.68, k.143.
- 18) AAN, sygn. 203/XV-39, k.34.
- 19) Ibid., sygn. 203/XV-39, k. 40.
- 20) Ibid., sygn. 203/XV-47, k. 46.
- 21) DALO, sygn. f.R-12, op. q, s.13, k.68.
- 22) AGKBZPNP-IPN sygn. SOKr. 68, k.33.
- 23) Ibid., k. 31a.

Na Bugu kończy się Europa

Andrzej Płes

Pierwsze: Weź trochę jednodołówek, koniecznie jednodołówek, bo banknoty o wyższych nominałach mogą na ciebie ściągnąć kłopoty.

Drugie: Zabierz trochę papierosów na „prezenty”. Paczka „Klubowych” stanowi tu silniejszy argument niż prawo międzynarodowe.

Trzecie: Przygotuj się na wszystko, na co i tak nie sposób się przygotować.

Szerokiej drogi i szczęśliwego powrotu. Szczególnie tego drugiego. Niemcy, którzy wracają z tamtej strony granicy twierdzą, że na Bugu kończy się Europa. Oni jeszcze nie mają prawa narzekać. Wprawdzie panuje tu kult dolara, ale i marka znajdzie uznanie.

Marka sprawi, że mundurowy „trzaśnie kopytami”, zaszaluje i usłużnie otworzy drzwi samochodu. Przekroczenie przepisów drogowych, kłopoty z odprawą celną, niejasności w paszporcie? Dla „markowego” turysty zza Odry nie istnieją, bo marka im pomoże.

Polacy to goście drugiej kategorii, bo Polacy to „bliska zagranica”. „Kurica nie ptica, Polska nie zagranica” – powiadają z drugiej strony. I traktują prawie jak swoich.

– Przekroczyłem granicę ze Słowacji i wyjechałem do Ukrainy – opowiada Ryszard W. z Rzeszowa. – Przez pomyłkę trafiłem „pod prąd” na podrzędną drogę jednokierunkową i chciałem się wycofać. Błyskawicznie

pojawiło się trzech milicjantów i z „kałasznikami”, wycelowali we mnie i zaczęli krzyczeć, że jestem przestępnik, zabrali dokumenty i pod lufami odprowadzili do dowódcy. Ten sprawdził samochód, otworzył bagażnik, zobaczył papierosy. Dasz zakurit? To nie brzmiało jak prośba, ale jak rozkaz. Zadowolili się dwiema paczkami „Marlboro”. Bez przerwy mnie poszturchiwali, a kiedy zaprotestowałem jeden z nich trącił mnie w bark. Zbyt mocno, żeby było przyjaźnie i dodał: wot, pan. Pytałem, co by zrobili, gdybym chciał uciec. Powiedzieli, że zaczęliby strzelać. – Przecież moglibyście mnie zabić. Jak można?

– No, można. Kak przestępnik.

Prawo jest po stronie broni i munduru, a takie prawo znaczy zysk. Źródłem najlepszego zysku są polscy turyści i kierowcy TIR-ów. Paszport z orłem w koronie nie znaczy tu nic, a pięć „zielonych” wszystko. Wiele o tym mogą powiedzieć kierowcy autobusów PKS z Przemyśla na Ukrainę.

– Gdzieś pod Lwowem zepsuł mi się autokar – opowiada jeden z nich. Ciągnął mnie wóz specjalnie ściągnięty z Przemyśla. Zatrzymał nas pijany milicjant i upierał się, że hol jest za długi i trzeba go skrócić. Tłumaczyłem, że to sztywny hol i przecież nie będę ciął palnikiem. Zaczął coś krzyczeć, po czym wybił mi pałką dwie szyby i sobie poszedł.

Trzeba płacić wszystkim i za wszystko – to stało się normą. Kierowcy PKS pokrywają te nieprzewidziane wydatki z własnych kieszeni, bo ani PKS, ani inna instytucja nie refunduje „prezentów” płaconych ukraińskim urzędnikom, celnikom i milicjantom.

– Na trasie Lwów-Czerniowce jest sześć milicyjnych punktów kontrolnych – twierdzi inny kierowca PKS. – Na każdym z nich milicjanci zatrzymują i życzą sobie a to pampersów, a to papierosów, a to polskiego piwa. Nie przejmują się, że nie mam, bo wiedzą, że będę miał przy następnym kursie. Spróbowałbym tylko nie przywieźć.

Doświadczeni nie stawiają oporu i płacą bez słowa protestu. Nie daje to gwarancji spokoju i bezpieczeństwa, ale za to opór gwarantuje kłopoty. Jeden z rozsierdzonych kierowców polskich zapytał żadnego „Wyborowej” ukraińskiego milicjanta o uprawnienia. Ten pochylił połą munduru, poklepał się po kaburze pisto-

letu i odrzekł, że to są jego uprawnienia. „Wyborową” dostał natychmiast.

Bywa też tragicomicznie. 2 grudnia ub. r. na przejściu granicznym w Szeginiach do kierowcy autobusu PKS podszedł młody, kompletnie pijany celnik i zażądał śrubokrętu. Po co? Bo będę rozkręcał autobus. Dlaczego? Bo teraz macie wielkie święto i wieciecie dużo wódki. Osłupiały kierowca nie wiedział, że chodzi o odległe Święta Bożego Narodzenia, czy Nowy Rok. Doinformował go pijany celnik: – Przecież wy teraz macie święta Świętego Mikołaja. Zasada „nie płacisz – nie jeździsz” obowiązuje także wobec ukraińskich kierowców i pasażerów. Autobus jadący ze Lwowa do Przemyśla zawsze ma nadkomplet pasażerów. Tym razem było zaledwie kilkunastu mogących się wylegitymować biletem kupionym w kasie dworca lwowskiego. I jeszcze tłum innych, którzy chcieli je kupić u polskiego kierowcy, ale ukraiński dyspozytor zarządził odjazd. Na protesty polskiego kierowcy odpowiedział, że nie mają pieniędzy.

– Jak to nie mają, skoro ode mnie chcą kupić? – Ale dla mnie nie mają, to nie pojedą – padła odpowiedź. Nie pojechali.

Dziesiątki uciążliwości, jakich polscy turyści mogą się spodziewać ze strony ukraińskich „służb porządkowych” to norma. Nieco ponadnormatywna jest brutalność tutejszych stróżów prawa. W połowie lutego słynna stała się brawurowa ucieczka polskiego kierowcy TIR-a na przejściu granicznym w Dorohusku. Kilka dni później podobne wydarzenia miały miejsce na granicy w Medyce-Szeginiach. Polska Straż Graniczna nie chce wypowiadać się

na ten temat, ponieważ sprawa nie jest do końca wyjaśniona. Według nie potwierdzonych „nadgranicznych” informacji, kierowca TIR-a z zaledwie 600 kilogramowym ładunkiem został przez ukraińskich celników wyciągnięty z pojazdu, pobity i pod lufami odbezpieczonych karabinów „kałasznikowa” położony twarzą do ziemi. Skorzystał z chwilowej nieuwagi swoich strażników, by wskoczyć do samochodu i pokonując „kolczatkę” uciec na polską stronę.

– Do wyjaśnienia sprawy nie wolno nam o niej mówić – twierdzi płk. Zbigniew Górski z przemyskiego oddziału Straży Granicznej. – Strona ukraińska podaje odmienną wersję wydarzeń, a wśród zeznań polskiego kierowcy jest wiele nieścisłości, choćby taka, że wbrew jego słowom celnicy nie posiadają broni. Nieoficjalnie mówi się, że Polak nie mógł lub nie chciał zapłacić, toteż odesłano go 600 km w głąb Ukrainy po tzw. karnet TIR-a.

Towarzystwa ubezpieczeniowe świadome są zagrożeń po tamtej stronie granicy. Warunkiem ubezpieczenia samochodu jest pozostawienie go wyłącznie na strzeżonych parkingach i nie opuszczenie pojazdu poza nimi. Do tej pory ubezpieczyciele nie odnotowali lawiny roszczeń od poszkodowanych kierowców. Ci skarżą się natomiast na złe traktowanie ze strony ukraińskich służb porządkowych i granicznych, ale od nieuprzejmości naszych sąsiadów nie sposób się ubezpieczyć. Ani od niepoliczalnych kosztów „prezentów” za względny spokój.

(Przedruk z Magazynu Tygodniowego Gazety Wrocławskiej nr 15 z 12.IV.1996)

JAZŁOWIEC – zarys dziejów miasta

Adam Wartalski

„W rozległej kotlinie na pochyłości niskiego wzgórza leży miasto Jazłowiec zbudowane w kształcie amfiteatralnym, od szczytu wzgórza ku brzegom płytkiego, lecz dość szerokiego strumienia. Wije się on wzdłuż całej kotliny i otacza szeroką wstęgą wzgórków, pokryte domami i zabudowaniami miejskimi. Szerokie ulice ciągnęły się pomiędzy podwójnymi rzędami murowanych kamienic przyozdobionych sztukateriami i napisami. Na miejscach wynioślejszych wznosiły się murowane kościoły i cerkwie, przez co już z dala uderzało miasto bardzo powabną powierzchownością”. Taki opis tego miasta przedstawił w swoich wspomnieniach z podróży do Polski za czasów Jana Sobieskiego Francus Daleroc, który bawił w tym mieście (podaje go ksiądz Sadok Barącz w „Pamiętnikach Jazłowieckich” wyd. we Lwowie 1862 r.). W tym okresie Jazłowiec był miastem ludnym i na owe czasy dość rozległym, o czym świadczy ilość świątyń różnych wyznań: dwa kościoły rzymsko-katolickie (parafialny i Dominikanów), dwa kościoły ormiańskie, klasztor dominikański, klasztor ormiański, dwie cerkwie i synagoga.

Ale Jazłowiec nigdy nie był miastem tak dużym jak bliski Buczacz i dalsze Brzeżany. Historia Jazłowca, małego miasteczka leżącego w południowo-zachodniej części Podola jest ściśle związana z dziejami rodu Buczackich i Jazłowieckich, z powstaniem zgromadzenia Sióstr Niepokalanek, jako pierwszej ich siedziby na ziemiach polskich oraz z 14 pułkiem ułanów zwanym Jazłowieckim, który od tego miasta przyjął swą nazwę.

Jazłowiec oddalony jest o 16 km na południe od Buczacza, malowniczo położony na wysokości 365 m, w kotlinie otoczonej wzgórzami, przez którą przepływają dwie rzeczki Olchowiec i Jazłowczyk. W 1937 r. liczył 2.700 mieszkańców. Jak każde stare miasto, również i Jazłowiec posiada szereg legend i opowieści o swoich początkach, ale żadna z nich nie znajduje potwierdzenia w źródłach historycznych.

Jedna legenda pochodzenia ormiańskiego mówi, że Ormianie w swej wędrówce w XII wieku przybyli na Podole i zatrzymali się na wypoczynek w pewnej kotlinie otoczonej wzgórzami, u stóp których przepływały dwie rzeczki. Miejsce to bardzo podobało się zmęczonym wędrowcom, a ponieważ przypominało im

strony ojczyste i stwarzało możliwość wypasu dużych stad owiec, zachęciło ich do założenia osady pod nazwą Jasło-Owiec, później Jasłowcem zwane. Tu już w 1250 roku miał być kościół i gmina ormiańska, którą tworzyli Ormianie z emigracji krymskiej, którzy w sądach i metrykach kościelnych używali języka tatarskiego. W tym czasie Jasłowiec miał być rezydencją biskupa ormiańskiego. Tyle legenda, fakty historyczne przedstawiają natomiast co innego. Według dokumentów z przywileju z roku 1615 nadanego przez Jana Jerzego Radziwiłła wynika, że Ormianie do Jazłowca przybyli dopiero z końcem XVI wieku. W pierwszych latach objęcia Rusi Czerwonej przez króla Kazimierza Wielkiego, do jednych z najbardziej znanych rodów należała rodzina Buczackich pochodzenia ruskiego. Pieczętowali się herbem „Abdank”.

Sławny w rodzinie Teodor Buczacki – kasztelan kamieniecki, był zagorzałym stronnikiem króla Władysława Jagiełły i wspomagał go w walce z jego bratem Świdrygiełłą. On to w 1436 roku w obecności wielu panów na rzecz kościoła Marii Magdaleny w Jazłowcu, zapisał wieś Niezbrody łącznie z pasiekami, stawami i młynem. Te nadania dla jazłowieckiego kościoła potwierdzili w roku 1467 synowie Teodora Buczackiego Jan i Michał zwiększając nawet fundusze kościelne.

Czasy świetności rodu już jednak minęły i ród Buczackich powoli chylił się ku upadkowi. W 1469 roku zmarł Mużyło Buczacki wojewoda podolski. Po nim zasłynął jeszcze Michał Buczacki, który w 1474 roku przyszedł ze szlachtą podolską na pomoc gospodarowi wołoskiemu Stefanowi, wspólnie z nim zadając kłeskę Turkom i Tatarom, którzy wtargnęli w księstwo wołoskie. W 1485 roku jeszcze raz zostali Buczaccy zaszczytnie uznaniem królewskim – Jakub Buczacki kasztelan halicki został mianowany wojewodą podolskim. Był to już końcowy okres świetności rodu, który wygasł w 1541 r. na Jakubie Buczackim, jedynym duchownym w tym rodzie – biskupie płockim.

Buczaccy osiedli w Jazłowcu, przybrali nazwisko Jazłowieckich. Ich staraniem miasteczko i zamek rozbudowały się. Ruiny zamku, które dochowały się do wybuchu II-giej wojny światowej w znacznej części pochodziły z zamku zbudowanego w połowie XVI w. przez Jerzego Jazłowieckiego (+1575) hetmana wiel-

kiego koronnego, a upiękzonego i wzmocnionego przez jego syna Mikołaja starostę śniatyńskiego.

Swą karierę rycerską Jerzy Jazłowiecki rozpoczął pod wodzą i okiem Mikołaja Kamienieckiego wielkiego hetmana koronnego. Do znanych czynów i walk Jerzego Jazłowieckiego należy zaliczyć rozbięcie watahy tatarskiej, liczącej ponad 1000 ordyńców w roku 1528 pod Kamieńcem Podolskim z małą garstką żołnierzy – 100 osób. Natomiast w 1529 roku rozbił kilka oddziałów tatarskich pod Oczakowem. Przy boku Jana Tarnowskiego brał udział w bitwach z Wołochami, którzy wtargnęli na Pokucie – pod Gwoźdźcem i Obertynem (22.VIII.1531 r.).

Za czasów Zygmunta Augusta Jerzy Jazłowiecki cieszył się zaufaniem króla, który obdarzył go starostwami: lubaczowskim, śniatyńskim i czerwonoogrodzkim.

W 1569 roku został wojewodą podolskim, a w latach następnych tłumił rozruchy na Wołoszczyźnie, przy czym w tych wyprawach towarzyszył mu jego syn Mikołaj. Za namową swej żony z domu Tarłówny, przeszedł na kalwinizm.

Jerzy Jazłowiecki zmarł w 1575 roku pozostawiając siedmioro dzieci: czterech synów: Mikołaja, Michała, Andrzeja i Hieronima oraz trzy córki: Annę, Jadwigę i Katarzynę. Po śmierci ojca Jazłowiec objął syn Mikołaj, który jeśli idzie o czyny wojenne poszedł w ślady swego ojca biorąc udział w wyprawie Batorego na Moskwę. W bitwie pod Toropcem niedaleko Wielkich Łuków w 1580 roku odznaczył się męstwem i odwagą. W odstępach rocznych zmarli jego dwaj bracia – Michał w 1582 roku, starosta chmielnicki, który od króla dla miasta Tłuste uzyskał przywilej na jarmarki w święto św. Trójcy i św. Łukasza, a w 1581 r. w Rzymie w wieku 22 lat – Andrzej.

Śmierć braci w tak krótkim czasie spowodowała przełom duchowy u Mikołaja Jazłowieckiego. W swoich dobrach zlikwidował zbory kalwińskie i z powrotem oddał je na kościoły rzymsko-katolickie m. in. w Martynowie, Baryszu i Suratinie.

Za sprawą Mikołaja Jazłowieckiego osiedlono w Jazłowcu dominikanów, wybudowano klasztor i mury kościoła pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Ponieważ dominianie bez aprobaty generała zakonu i funduszy w odpowiedniej wysokości nie mogli wejść w posiadanie kościoła, przekazali go w chwilowe władanie przez księdza Bartłomieja Smarzewskiego – proboszcza parafialnego kościoła Marii Magdaleny w Jazłowcu. Ta decyzja okazała się później zarzewiem wieloletniego sporu z dominikanami. Mikołaj Jazłowiecki idąc w ślady swo-

jego ojca upiękzył i wzmocnił zamek jazłowiecki. Tatarzy nigdy nie kusili się o jego zdobycie. W wyniku interwencji Mikołaja Jazłowieckiego w Rzymie w 1594 roku dominianie objęli w posiadanie klasztor i kościół.

Mikołaj Jazłowiecki zmarł w 1595 roku, a schedę po nim objął ostatni z męskiej linii Jazłowieckich – Hieronim. On też doprowadził do tego, że proboszczem jazłowieckim został ks. Marcin Rzeczkowski na miejsce ks. Smarzewskiego, który prowadził wojnę z dominikanami i przemocą starał się wyrzucić ich z klasztoru. Hieronim zmarł w 1607 roku i na nim wygasł możny ród Jazłowieckich, albowiem jego małżeństwo z Eleonorą księżniczką Ostrogską, córką Janusza kasztelana krakowskiego było bezpotomne. Podobnie jak brat został pochowany w kościele jazłowieckim.

W dwa lata później zmarł w Jazłowcu wybitny polski kompozytor Mikołaj Gomółka, którego płyta nagrobna do 1939 roku wmurowana była w ścianę kościoła parafialnego. Płyta znajdowała się początkowo na cmentarzu przy dawnym kościele parafialnym w Jazłowcu na wewnętrznym murze cmentarnym. Z końcem lat dwudziestych dziewiętnastego wieku na gruzach dawnego kościoła dominikańskiego wybudowano nowy kościół z ofiar wiernych i znacznych dotacji ówczesnego właściciela Jazłowca barona Wiktora Błażewskiego. Odnaleziona w murze cmentarnym płyta Mikołaja Gomółki z polecenia baronowej Rozalii Błażewskiej została wyjęta, oczyszczona i odnowiona, a następnie w 1830 roku przeniesiona i umieszczona przy głównym wejściu nowego kościoła, gdzie znajdowała się do roku 1939.

W roku 1615 Janusz ks. Radziwiłł – drugi mąż Eleonory wdowy po Hieronimie Jazłowieckim – nadał Ormianom przywilej osiedlania się w Jazłowcu na warunkach analogicznych jakie mieli w Kamieńcu Podolskim. Nadanie tego przywileju zachęciło Ormian do osiedlania się w mieście.

Zanim jednak nastały czasy świetności dla Jazłowca miasto miało szereg lat chudych. Na powyższą sytuację złożyło się kilka przyczyn. Spadkobiercy zmieniali się co kilka lat – Czuryłowie, Wolscy, Boguszowie – nie dbali o rozwój miasteczka, a co gorsza nie realizowali zapisów Jazłowieckich dla szpitala, kościoła, cerkwi w Jazłowcu. Do tego doszedł zatarg proboszcza jazłowieckiego z Dominikanami, napady tego pierwszego na klasztor, zajęcie włości klasztornych. Ostatecznie ten zaciekle spór został rozstrzygnięty 9.V.1633 roku w Rzymie. Kościół Marii Magdaleny został przyznany Domini-

kanom, a parafia jazłowiecka obsadzona przez zakonników. W wyniku tego przyznano zakonowi prawo patronatu, oddano kościołowi pod opiekę plac z cmentarzem, a drewniany kościół Marii Magdaleny został przeniesiony ze wzgórza do miasta. To spowodowało ustanie zatargów wśród duchowieństwa jazłowieckiego.

Dobra jazłowieckie od ostatniej właścicielki Anny Odrzywolskiej kupił hetman wielki koronny Stanisław Koniecpolski, który po objęciu we władanie Jazłowca potwierdził dotychczas przyznane miastu przywileje, w tym również jazłowieckim Ormianom.

Po śmierci hetmana Koniecpolskiego klucz jazłowiecki odziedziczył syn jego Aleksander, który zamek i miasto wzmocnił i zrobił to skutecznie, bowiem w 1648 roku Jazłowiec wytrzymał oblężenie Kozaków.

W tym okresie do Jazłowca przybyło coraz więcej Ormian, którzy tu osiedlali się na stałe i dzięki nim miasto bogaciło się na handlu. Wśród nich zamieszkał w Jazłowcu Bogdan Serafowicz z Armenii, który na czele zbrojnej drużyny zebranej własnym kosztem bronił kilkakrotnie miasto przed wrogami, a zwłaszcza przed Turkami. Za tę dzielną postawę w obronie Jazłowca przed niewiernymi w 1676 roku król Jan III Sobieski podniósł Serafowicza do stanu szlacheckiego, nadając mu herbu Lubicz.

Okres świetności Jazłowca przerwał najazd w 1671 roku potężnej armii tureckiej po dowództwem sułtana Mahometa IV. Piękne i bogate miasto legło w gruzach. Miasto i zamek odzyskał dopiero król Jan Sobieski w 1684 roku. Jeszcze pierwsze lata XVIII wieku były latami, w których mieszkańcy Jazłowca starali się wydzwignąć je z zaniedbania i odbudować ze zniszczeń pozostawionych przez Turków.

W 1717 roku postawiono murowane kramy i dwa młyny w mieście. W 1718 roku ówczesny właściciel Jazłowca Jan Koniecpolski sprowadził do miasta zakon Paulinów, którym dał locum w zamku. W 1720 roku Jan Koniecpolski zmarł bezpotomnie, a Jazłowiec odziedziczyli jego krewni bracia Franciszek i Aleksander Walewscy. Uzyskany spadek okazał się dla braci Walewskich tylko uciążliwym ciężarem – był to wielki majątek, ale o bardzo zawikłanych sprawach prawnych i finansowych, poważnie zadłużony. W tej sytuacji już w 1721 roku odsprzedali cały klucz jazłowiecki swojemu krewnemu Aleksandrowi Walewskiemu miecznikowi sieradzkiemu. Nowy nabywca również szybko pozbył się majątku za kwotę 300 tys. zł. wraz z drogocenną zastawą srebrną sprzedał go księciu Jerzemu Aleksandrowi Lubomirskiemu, obożnemu wielkiemu koronnemu.

W czasie walk o tron polski między St. Leszczyńskim a Augustem II Sasem przemarsze wojsk znacznie zubożyły Jazłowiec, który się wyludnił. Książę Lubomirski nie dbał o Jazłowiec i w końcu klucz jazłowiecki sprzedał Stanisławowi Poniatowskiemu, ojcu przyszłego króla Stanisława Augusta w roku 1746.

Stanisław Poniatowski nie troszczył się o stary zamek, odbudował natomiast i upiększył dawny pałac Aleksandra Koniecpolskiego za zamkiem na cyplu wzgórza i starał się podnieść handel by ożywić życie gospodarcze miasta.

Po śmierci Stanisława Poniatowskiego w 1762 roku, klucz jazłowiecki pozostawił w spadku swemu synowi Augustowi Poniatowskiemu, który w dwa lata później 7.IX.1764 roku został wybranym królem polskim.

Po pierwszym rozbiore Polski – Jazłowiec jak i cała Małopolska, dostał się pod panowanie austriackie. Usadowiona w mieście załoga wojskowa zmusiła mieszkańców miasta do dostawy w 1773 roku 55 korcy żyta i 193 korcy owsa, udostępnienia pomieszczeń dla oficerów, a w 1774 przybyłym na załogę oddziałom huzarów.

W roku 1777 Jazłowiec przeszedł w ręce Potoczkich. W wyniku reform józefińskich uległy kasacji – klasztor paulinów, a następnie dominikanów, którzy przenieśli się do Czortkowa, a klasztor wraz z kościołem wykorzystano na magazyn wojskowy.

W marcu 1800 roku miasto Jazłowiec przeszło w ręce Krzysztofa Grudnickiego, miecznika przemyskiego. W 1809 roku nowy właściciel odnowił kościół ormiański i przeznaczył go na cerkiew obrządku greko-katolickiego, zachowując napisy ormiańskie na kamieniu obramowań drzwi i posadzki kościelnej. Natomiast klasztor i brama ormiańska zostały rozebrane, a uzyskany materiał z rozbiórki wykorzystano do budowy domów mieszkalnych. Grudnicki w 1811 roku sporządził testament, w którym Jazłowiec z kilkoma wsiami zapisał córce swojej Róży – żonie barona Wiktora Błażewskiego i wnukowi Krzysztofowi Błażewskiemu, który miasto przejął w posiadanie w 1841 roku.

Rok 1863 stanowił dla Jazłowca ważną datę. W tym roku osiedlił się tu zakon Sióstr Niepokalanego Poczęcia – zwany potocznie Niepokalanekami. Decyzję w tej sprawie podjęła przełożona sióstr Marcelina Darowska, która z dalekiego Rzymu przybyła wraz z siedmioma siostrami na ziemię polską do Jazłowca, miejscowości leżącej wówczas kilkadziesiąt kilometrów od najbliższej stacji (w 1863 roku kolej dochodziła tylko do Stanisławowa).

Mając 27 lat Marcelina Darowska po śmierci męża i rocznego synka związała się w Rzymie ślubami ze zgromadzeniem tworzącym się wokół ojca Hieronima Kajsiowicza Zmartwychwstańca i Józefy Karskiej. W 1860 roku po śmierci Karskiej została przełożoną tego małego zgromadzenia. Początek w Jazłowcu nie był łatwy. Stary pałac Poniatowskich, który stał się ich siedzibą musiał być gruntownie wyremontowany. Nie było na to pozwolenia austriackich władz, które natychmiast zaczęły interesować się działalnością przybyłych z zachodu sióstr. Koniec końców 4 listopada 1863 roku odprawiono w Jazłowcu pierwszą mszę św., siostry włożyły habity i pod szyldem szkoły parafialnej rozpoczęły systematyczne nauczanie, mimo dużego ryzyka, bowiem dopiero od 1868 roku można było otwierać szkoły prywatne.

Opinia ówczesnych luminarzy kultury polskiej prof. Stanisława Tarnowskiego i Henryka Sienkiewicza o dziele Niepokalanek i ich przełożonej brzmiała: „Matka założyła w Galicji twierdzę na obronę wiary i Polski”. Marcelina Darowska rozumiała, że Polskę ratować można jedynie w kraju. Stworzyła ona spójny system pedagogiczny w zakresie szkół średnich. Były one nowością na ziemiach polskich. Utworzyła także sieć szkół wiejskich o poziomie szkoły podstawowej wzbogaconej o elementy wiedzy z zakresu zasadniczej szkoły rolniczej i gospodarczej.

W Niżniowie założyła szkołę pedagogiki dla kształcenia sióstr Niepokalanek w tym zawodzie. (Dziś siostry Niepokalanek prowadzą żeńskie licea ogólnokształcące w Szymanowie i w Wałbrzychu, technikum gastronomiczne w Nowym Sączu).

W tym miejscu należy wspomnieć, że łaskami słynąca figura Matki Bożej Niepokalanie Poczętej z kaplicy w Jazłowcu – jest darem sługi Bożej Marceliny Darowskiej, na prośbę której Oskar Sosnowski, rzeźbiarz polski zamieszkały w Rzymie, wykonał figurę z białego marmuru kararyjskiego. Figurę poświęcił bp. Szczęśny Feliński 10.VIII.1883 roku. Kult Matki Boskiej Jazłowieckiej szerzyli szczególnie ułani, którzy obrali ją za „Hetmankę”. Czternasty pułk Ułanów Jazłowieckich nazwę swą otrzymał od stoczonej zwycięskiej bitwy pod Jazłowcem w 1919 roku.

9 lipca 1939 roku przy uroczystej asyście delegacji Ułanów Jazłowieckich i tłumów wiernych z okolic Jazłowca ks. kardynał August Hlond ukoronował posąg Matki Boskiej Jazłowieckiej. Posąg ten od maja 1946 roku znajduje się w Szymanowie. Jedną z zasłużonych sióstr Niepokalanek była siostra Laureta, z domu Zofia Wilczyńska, zmarła 13.III.1985 roku w Jarosławiu w klasztorze tamtejszych SS. Niepokale-



nek. Była osobą nieprzeciętną. W roku 1918 z karabinem w rękę walczyła w obronie Lwowa z Ukraińcami i dosłużyła się stopnia kaprała za dzielność i odwagę. Została odznaczona Krzyżem Walecznych. Po zakończeniu wojny wstąpiła do zakonu Niepokalanek w Jazłowcu, gdzie rozpoczęła służbę Bogu.

Wspominał ją ciepło gen. bryg. Klemens Rudnicki. Kiedy w sierpniu 1939 roku w przededniu wojny Ułani Małopolscy zjawili się u furty klasztornej z prośbą złożenia votum u stóp pani Jazłowieckiej – furtianką była wówczas siostra Laureta. Ona była głównym mi-

strzem ceremonii z ramienia klasztoru. Była bowiem kapralem i ekspertem klasztornym od spraw wojskowych. Ponieważ lubiła huk i gwar wojenny kazała ułanom ustawić na wieży zamczyska karabiny maszynowe i oddać parę serii w momencie składania votum.

W listopadzie 1939 roku generał zjawił się ponownie u furty klasztornej w przebraniu cywilnym, by zobaczyć co się dzieje z siostrami zakonnymi i córkami generała, które tam były. I znowu S. Laureta otworzyła mu furkę i zaprowadziła do matki przełożonej. Te odwiedziny przekonały go, że zakonnice nie są załamane i mimo poważnej sytuacji ufnie patrzą w przyszłość. Potem losy generała i sióstr rozeszły się. W 1941 roku po wyjściu z więzienia sowieckiego znalazł się w sztabie Armii Polskiej w ZSRR. Tam doszła go wiadomość, że wśród wywiezionych jest siostra Laureta. Ona jedna z sióstr zakonnych w Jazłowcu została wywieziona. Udało się ją ściągnąć do dowództwa Armii i znalazła się w sztabie. Została w armii, przydzielona do 6-tej Dywizji Piechoty, gdzie generał był z-cą dowódcy dywizji. Za dzielną służbę mianowana starszym wachmistrzem, wraz z armią Andersa znalazła się w Palestynie, a następnie w 1943 roku w Szkocji w swoim pułku Ułanów Jazłowieckich i tam była świetliczanką aż do końca działań wojennych.

Dopiero w 1945 roku gen. K. Rudnicki dowodząc I-szą Dywizją Pancerną, stacjonującą w Niemczech, spotkał się z siostrą Lauretą, która jechała z misją do Warszawy po ukryty sztandar pułkowy, by przywieźć go do Szkocji. Ubrana cywilnie dołączyła do repatriantów i z nimi przyjechała do Polski.

Po 3 miesiącach była już z powrotem. Wymizowana i chuda i bardzo smutna, bowiem nie wywiązała

się z powierzonej misji. Sztandar znalazła, ale ci którzy go przechowywali nie zawieźli jej i sztandar nie wydali. Sztandar dotarł do Szkocji przewieziony przez kogoś innego. Siostra Laureta uznała, że czas już wrócić do klasztoru Niepokalanek w Polsce. Była początkowo w Szymanowie, a kiedy zaczęła podupadać na zdrowiu osiadła w klasztorze Niepokalanek w Jarosławiu i tam szereg lat chorując, z amputowaną nogą zmarła 13.III.1985 roku w wieku 85 lat.

Na zakończenie należałoby wspomnieć jak 8 lat temu wyglądał Jazłowiec, a właściwie Jabłonówka – bo taką nazwę nadano po roku 1945 tej miejscowości, zacierając w ten sposób ślady polskości na tej ziemi. Stan i wygląd Jazłowca przedstawiła relacja M. Anuncjaty Strassburger-Niepokalanek, która jeszcze w październiku 1988 roku przebywała tam z wycieczką. Oddajmy jej głos: „Dojeżdżamy od strony cmentarza, wprost na ruiny kaplicy Błazowskich, po prawej stronie ściany zdewastowanego kościoła



Ułani Jazłowieccy w czasie uroczystości koronacyjnych statuy Matki Bożej Jazłowieckiej, które odbyły się 9 VII 1939 r.

parafialnego, po lewej stronie ściany świątyni ormiańskiej z kamiennym portalem. Przed nami znane ruiny zamku na wzgórzu, a pod nimi nasz dom jakby skurczony, osamotniony, ale ten sam. Nie ma już kamiennej bramy wjazdowej do zamku, jest metalowa na betonowych słupach. Tylko Jazłowczyk niezmienny wije się w dolinie, której zbocza nawet w siąpiącym deszczu nadal są piękne...

Przy lewym skrzydle klasztoru w dawnym parku zagradza drogę obskurna świnia. Tuż za nią widnieje kamienny krzyż wieńczący grobowiec z napisem u wejścia: „Jam jest zmartwychw-

stanie i życie” klękamy przed grobem matki Darowskiej”.

W latach dziewięćdziesiątych naszego wieku porócono do nazwy Jazłowiec – w języku ukraińskim, natomiast zniknęła rosyjska nazwa Jabłonówka. Lecz na tym nie można zakończyć dziejów Jazłowca, pomijając sylwetkę kapłana ściśle związanego z tym miastem i jego okolicą. Stosując dewizę Owidiusza – wyrażoną w utworze „De vita sua” – Si tamen ex tinestis aliquid nisi nomina restant. (Niech jednak po zmarłych pozostanie coś więcej niż imiona).

Tym kapłanem, który zginął śmiercią męczeńską był kanonik, ksiądz dr Andrzej Krasinski, ostatni proboszcz w Jazłowcu. Urodzony w 1895 roku, święcenia kapłańskie otrzymał w 1921 roku z rąk arcyb. Józefa Bilczewskiego. Początkowo był asystentem na wydziale teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, by w latach trzydziestych naszego wieku objąć probostwo w Jazłowcu po księdzu Józefie Ścisłowskim, a także kierownictwo obszernym dekanatem jazłowieckim. Nie ograniczał się tylko do pracy duszpasterskiej, działał społecznie w Związku Szlachty Zagrodowej, prowadził też pomoc charytatywną wśród młodzieży ubogiej swego dekanatu.

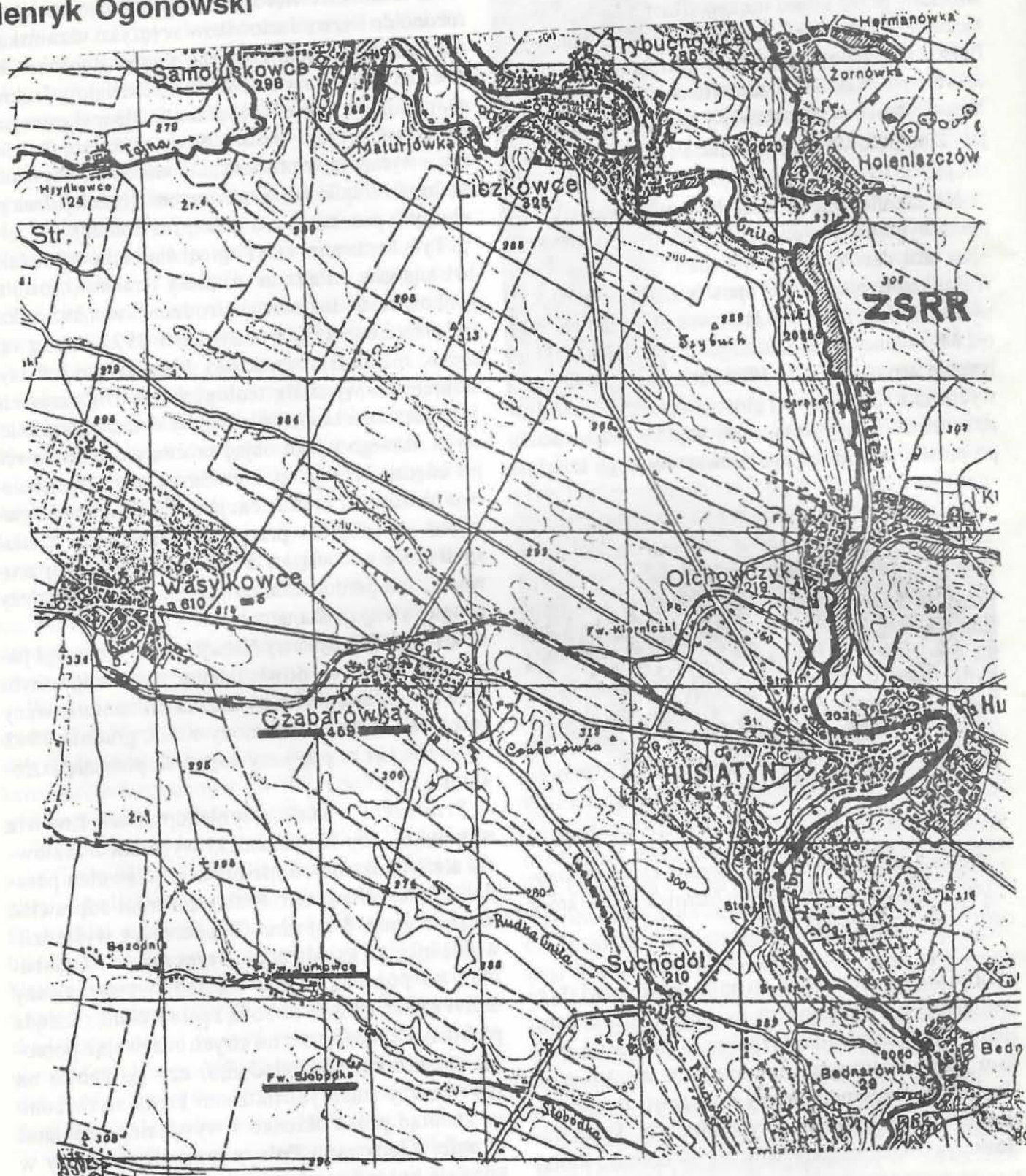
Z relacji Władysławy Niżańkiewicz – niegdyś parafianki Jazłowca dowiadujemy się o tragicznym losie ks. A. Krasnickiego. Został on zamordowany przez banderowców w nocy z 7/8 grudnia 1943 roku. Nie był to pierwszy napad na plebanię jazłowiecką.

Przełożeni z kurii arcybiskupiej we Lwowie namawiali, aby ks. Krasnicki wyjechał z Jazłowca, ale on postanowił nie opuszczać swoich parafian. Nadszedł adwent. Proboszcz miał odprawiać roraty o godz. 6-tej rano. Banderowcy wysłedzili widocznie, że ksiądz nocuje tym razem na plebanii i po północy wdarli się tam wywarzwszy drzwi łomem. Mieli ze sobą sanie i konie. Ksiądz proboszcz schronił się na strych wzywając pomocy, ale krótko. Nie wiadomo, czy go zabito na strychu, czy zmarł już na ziemi kiedy wyrzucono go stamtąd przez okienko i wywieziono saniami w pole. Kiedy rano Polacy przyszli na roraty w kościele był jeden wielki szloch.

Od Świąt Bożego Narodzenia objął parafię jazłowiecką ks. Bernard Pyclik z Polowic w powiecie czortkowskim, gdzie Ukraińcy wymordowali wszystkich parafian. Nie zawahał się i objął następną zagrożoną parafię. Dalszych losów ks. Pyclika nie znam.

Czabarówka na Podolu – losy mieszkańców 1939-45

Henryk Ogonowski



Czabarówka – wieś jakich wiele na Podolu – położona w dolinie potoku płynącego w kierunku Zbrucza. We wsi przecinały się szlaki komunikacyjne: kolejowy i drogowy – łączące Husiatyn z powiatowym miastem Kopyczyńce. Tor kolejowy wybudowano w czasach zaboru austriackiego w latach 80-

tych (1882 r.) ubiegłego stulecia. Pola czabarowieckie sąsiadowały z gruntami wsi Wasylkowiec od zachodu, Husiatyna od wschodu, Liczkowiec od północy i osady Jurkowce od południa. Należały do najbardziej urodzajnych pól na Podolu. Uprawiano tutaj pszenicę, buraki, kukurydzę i tytoń.

We wsi był kościół rzymsko-katolicki i cerkiew greko-katolicka. Działalność dydaktyczno-wychowawczą prowadziły szkoły: polska i ukraińska, handlową sklepy: polskie, ukraińskie i żydowskie. Usługi mieszkańcom świadczyły liczne placówki rzemieślnicze: krawieckie, szewskie, kowalskie, stolarskie, kołodziejskie i inne. Rozwijał się też ruch spółdzielczy inicjowany przez znane na Podolu „Kasy Stefczyka”. Działały też stowarzyszenia i organizacje społeczno-polityczne.

Życie kulturalno-oświatowe koncentrowało się wokół polskiego domu ludowego – wybudowanego społecznym sumptem Polaków. Organizowano zabawy i festyny, przedstawienia amatorskie, imprezy okolicznościowe itp. Chlubą wsi była Ochotnicza Straż Pożarna, a szczególnie jej dęta orkiestra, którą prowadził miejscowy nauczyciel Franciszek Kamieński. Orkiestra uświetniała imprezy i uroczystości organizowane w Czabarówce i jej okolicach. Całe życie kulturalno-oświatowe we wsi prowadzone było głównie przez nauczycieli.

Nazwa wsi wywodzić się ma podobno z czasów, kiedy miały miejsce liczne wędrówki ludów – ciągnące wraz ze swym dobytkiem ze wschodu na zachód, a głównie ich szlaki prowadziły przez Podole. Ponieważ Podole – to żyzna kraina – tutaj też się osiedlano, bądź zatrzymywano na dłuższy odpoczynek – potrzebny ludziom i stadom: krów, koni i owiec. Owe stada zwano wówczas „czabanami” i być może od pojęcia „czaban” wywodzi się nazwa Czabarówka, przekształcona z czasem na Czabarówkę.

Wiesz, tak jak i całe Podole – przechodziły różne koleje losu. Nie ominęły jej najazdy: Turków, Tatarów i Kozaków, długie lata zaboru austriackiego oraz zniszczenia spowodowane przez dwie kolejne wojny światowe.

Urodziłem się w Czabarówce u schyłku tzw. 20-lecia międzywojennego, tutaj upływało moje dzieciństwo – przypadające niestety na okres burzliwych i brzemennych w skutkach zdarzeń. W wieku czterech lat – w okresie prac żniwnych posyłało mnie do przedszkola zwanego wtedy „ochronką”. To tutaj pod opieką wychowawczyni poznaliśmy okolice Czabarówki – ciekawy świat roślin i zwierząt. Były to pierwsze – praktyczne lekcje patriotyzmu i historii o ziemi ojczystej. Ponadto uczyliśmy się śpiewać patriotyczne i ludowe piosenki, recytować wiersze, wystawiać dziecięce przedstawienia.

Wspominałem o orkiestrze strażackiej. Odbывała ona regularne próby w sali szkolnej, bądź w paradnym szyku marszowym na placu zwanym „tłoką”. Zwabiały one licznych mieszkańców wsi, którzy słuchając marszowych melodii w wykonaniu swojej orkiestry, byli z niej dumni. Ponieważ ojciec mój był jednym z członków tej orkiestry, zabierał mnie czasami na próby. Pamiętam jak maszerowałem za panem Bieleckim, grającym na dużych, metalowych, lśniących w słońcu talerzach zwanych „czynelami”.

Rodzice moi żywo interesowali się wydarzeniami zachodzącymi tak w Polsce jak i na świecie. Ojciec po pracy chodził na karty i pogawędki polityczne „za potok” do swojego szwagra, a mego wujka Józefa Domaradzkiego. Zbierało się tam grono sąsiadów, rozprawiając o sprawach gospodarczych i politycznych często zaglądając do grubego atlasu przywiezionego przez wujka z Kanady, będącego tam przez wiele lat na robotach. Wujek cieszył się we wsi autorytetem, ponieważ uważany był za człowieka „światowego”. Nieraz zabierał mnie tam ojciec. Przysłuchiwałem się ciekawym rozmowom dorosłym. Czasami poczęstowany zostałem smakowitymi pierogami, ugotowanymi przez ciocię Katarzynę Domaradzką, moją matkę chrzestną. Moja zaś matka chodziła na „radio” do Szwarców – naszych najbliższych sąsiadów. Zbierało się tam grono „polityków” na czele z panią Czaczkowską. Radio było źródłem najbardziej aktualnych wiadomości z kraju i ze świata, a raz w tygodniu zachwycono się kabaretem z programem Tońka i Szczepka – nadawanego przez radio Lwów.

Nadszedł tragiczny wrzesień 1939 roku. Pierwsze jego dni niczym szczególnym nie zapisały się w mej pamięci – poza ogólnym niepokojem dorosłych. Czabarówka nie była w bezpośrednim zasięgu działań wojennych niemieckiego agresora. Dopiero wkroczenie Armii Czerwonej wywarło zasadniczy wpływ na zmianę naszego życia, gdyż utaciliśmy wolność i niepodległość.

Pamiętam dobrze ten dzień. Była to niedziela 17 września. Rozpoczął się kolejny, piękny słoneczny dzień wrześniowy. Rodzice rozpoczęli obierać dorodne kolby kukrydzy, która wyjątkowo w tym roku wspaniale obrodziła i zapłatać je w długie warkocze. Poranne powietrze orzeźwiło swą świeżością. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie bzykaniem budzących się owadów. I nagle w tę ciszę wdarł się brutalnie, nasilający się odgłos wystrzałów z broni maszynowej dochodzący z nad Zbrucza. Rodzice przerwali rozpoczętą pracę i z trwogą wsłuchiwali się w strzelaninę, razem z wychylającymi się z za opłotków też nic nie rozumiejącymi sąsiadami. Wkroczenie oddziałów Armii Czerwonej do wsi nie pozostawiło żadnych, nawet najmniejszych złudzeń. Przez Czabarówkę przewaliło się ze wschodu na zachód – dużo oddziałów pieszych, konnych, kolumn pancernych i samochodowych. Z momentem wkroczenia wojsk sowieckich, skończyła się dla Polaków wolność i suwerenność, a dla mnie beztrudne dzieciństwo. Rosjanie szybko organizowali swoją administrację, która bez pardonowo wprowadziła w życie nowe porządki. Pamiętam ich pierwsze efekty. Gdzieś pod koniec września, przez Czabarówkę przeszły liczne kolumny jeńców żołnierzy polskich, wziętych do niewoli, głodnych, zmęczonych i przygnębionych, skazanych na straszną poniewierkę i zagładę w obozach sowieckich.

A oto jak wspomina tamte wydarzenia – jeden z byłych jeńców polskich – Stanisław Ropuszyński, obecnie zamieszkały we Wrocławiu: „Szlismy od Strusowa k/Trembowli do Husiatyna i dalej przez Zbrucz stanowiący kiedyś granicę Polski. Następnego dnia znów wracają nas na stronę polską. Lokują w jakimś folwarku (prawdopodobnie chodziło tu o Kierniaczki). Z każdym dniem przybywa jeńców i rodzajów mundurów. Około 23 września każą ruszać – kolumna liczy ok. 2 tysiące. Szlismy dwa dni do stacji w Jarmolińcach. Tu załadowano nas do 40-to tonowych wagonów towarowych po 80 jeńców do każdego. Ruszyliśmy w kierunku wschodnim”.

Dodam, że Stanisław Ropuszyński był więźniem Starobielska i cudem uniknął śmierci. Wryła mi się też w pamięć – panika wśród Polaków, wywołana zorganizowaną akcją – wywózki na Sybir – rodzin polskich tzw. „kolonistów” w mroźną lutową noc 1940 roku. Zaskoczeni Polacy w ciągu kilkunastu zaledwie minut musieli opuścić swe domostwa. To było straszne. Tego nie da się opisać. Wielu Polaków aresztowano między innymi i naszego sąsiada pana M. Szwarcza za posiadanie radia. W czerwcu 1941 roku łamiąc uprzednio zawarte układy – Niemcy uderzyli na ZSRR. Potężnymi siłami prą na wschód, zajmując kolejne miejscowości. W lipcu zabierają Niemcy mojego ojca, wujka Domaradzkiego i kilku innych gospodarzy z zaprzęgami konnymi, każą jechać z nimi na wschód i wieźć ich sprzęt wojenny.

Z opowiadań ojca wiem, że jechali w kierunku południowo-wschodnim zbliżając się z każdym dniem do Odessy. Prośby o zwolnienie kończą się niepowodzeniem. Trwają naloty lotnictwa sowieckiego. Po jednym z takich nalotów, bomby rozbijają doszczętnie prawie wszystkie tabor. Wujek zostaje ranny i zabrany do szpitala, a ojciec korzystając z panującego zamieszania ucieka. Przedostaje się do domu pieszo, idąc polami i lasami, omijając osady ludzkie i maszerujące na wschód wojska niemieckie. Po przebyciu wieluset kilometrów, kompletnie wyczerpany, dociera szczęśliwie do domu. Przez wiele dni lecząc obolałe nogi i zastanawia się jak ze swego czynu wytłumaczyć się władzy, która żywo interesowała się jego powrotem. Przy okazji wspomnę też co znaczyła dla ojca – gospodarza – utrata koni i wozu w przededniu zbliżających się prac zniwnych i poźniwnych. Koń stanowił wówczas podstawową siłę pociagową gospodarstwa chłopskiego. Trudno go było zdobyć w czasie wojny.

Nastały czasy okupacji niemieckiej, okres aresztowań, łapanek i wywozu w głąb Rzeszy na roboty. Wielu mieszkańców Czabarówki podzieliło ten los. Pozostali musieli ciężko pracować, a owoce swej pracy oddawać okupantowi. Za ukrywanie zboża, mięsa groziły surowe kary z karą śmierci włącznie.

We wrześniu 1941 roku ukończyłem 7 lat i rozpocząłem naukę szkolną. Pamiętam, że w klasie wisiało godło niemieckie, czarny orzeł z rozczapierzonymi skrzydłami, ale nauka odbywała się w języku polskim, świadectwa zaś wypisywano w języku niemieckim.

W 1943 roku przygotowywaliśmy się do pierwszej Komunii. Na naukę chodziliśmy pieszo do kościoła parafialnego w Husiatynie. Kościół bernardynów pod wezwaniem Św. Antoniego w Husiatynie wywarł na mnie ogromne wrażenie swą wielkością, okazałością i bogatym wystrojem. Był najokazalszą budowlą zabytkową z XVII stulecia w całym mieście.

Fundatorem tego kościoła i wielu innych na Kresach Wschodnich był hr. Walenty Aleksander Kalinowski – generał ziem podolskich, właściciel licznych majątków na Kresach Wschodnich. Z kościołem związane były liczne legendy, z których jedna mówiła o istnieniu podziemnych tuneli, wydrążonych w czasach napadów turecko-tatarskich, łączących kościół z zamkiem obronnym w Sidorowie.

Komunia odbyła się w czerwcu i objęła dzieci z całej parafii. Pamiętam ten dzień doskonale. Dziewczynki ubrane były w białe jedwabne sukienki, uszyte przeważnie ze znalezionych po działaniach wojennych spadochronów. Chłopcy zaś w różne ubranka, głównie uszyte z białego płótna wytwarzanego własnym sumptem. Po Komunii było wspólne zdjęcie i skromny poczęstunek, przygotowany na plebani.

Czasy okupacji niemieckiej to także okres nasilającego się nacjonalizmu ukraińskiego z jego okropnymi prześladowaniami i mordami Polaków. Zaczęło się to na Wołyniu i powoli obejmowało coraz szersze rejony Podola, docierając również i do Czabarówki. Polacy żyli w ciągłym strachu i niepewności, ponieważ byli bezbronni i nie mogli liczyć na żadną pomoc. Pierwszymi ofiarami byli panowie Apoloniusz i Wacław Jasińscy. Nęcano też i Ukraińców sprzyjających Polakom. Przez wiele nocy nie spaliśmy w domu, ukrywając się gdzie się dało. Pamiętam jedną z lutowych nocy 1944 roku, kiedy do wsi zbliżała się duża grupa uzbrojonych banderowców. Zauważyli to Polacy, czuwający po nocach i uderzyli na alarm. Rozdzwoniły się dzwony, zadźwięczały uderzane metalowe przedmioty. Kto żyw z mężczyzn Polaków pędził na miejsce zbiórki trzymając w rękach: siekiery, widły, kosy, a niektórzy i potajemnie skrywaną broń. Do naszego okna zapukał kuzyn Włodek Domaradzki, powiadamiając o tym co się dzieje we wsi i zabierając ze sobą mojego ojca. Byłem przerażony i ze strachu czekałem co będzie dalej. A wiedziałem już dobrze co ewentualnie może nas czekać. Nad ranem wrócił ojciec i z jego relacji dowiedziałem się o przebiegu dalszych zdarzeń. Otóż banderowcy zorientowawszy się, że

Polacy nie dali się zaskoczyć, że są przygotowani do obrony, oświadczyli, że są regularnym wojskiem i chcą tylko przejechać przez wieś. Nikomu nie zrobią nic złego. Dodali jednak, że jeżeli napotkają na trudności w przemarszu – to spalą całą wieś.

Po radzie Polacy postanowili przepuścić uzbrojoną bandę. Udała się ona w kierunku osady Słobódka i Jurkowce i tam zaskoczywszy Polaków, prawie wszystkich wymordowali. Nawet Niemcy, którzy udali się na wizję lokalną miejsca zbrodni, byli wstrząśnięci zastanym widokiem.

Wiosną 1944 roku – ponownie wkroczyły do Czabarówki wojska sowieckie, a z nimi ich porządek – dobrze nam znany. Aresztowali tych, którzy współpracowali z Niemcami. Mężczyźni w sile wieku dostali powołanie do wojska – Polacy do polskiego, Ukraińcy zaś do rosyjskiego. Powołanie dostał również mój ojciec i kuzyn Władek Domaradzki. Powołanie otrzymały też polskie kobiety w tym moja kuzynka Izabela Jarwińska i Bronisława Hranowska.

Zostaliśmy sami na gospodarstwie. Ponieważ ukończyłem już 10 lat spadły na mnie określone obowiązki – pasanie bydła.

We wrześniu 1944 roku podjąłem ponownie naukę szkolną przerwana działaniami wojennymi. Uczyliśmy się języka polskiego, rosyjskiego i ukraińskiego, a była to klasa trzecia. Byliśmy już na tyle świadomi, że zastanawialiśmy się nad tym co dalej będzie z nami, jak potoczą się nasze losy, tym bardziej nas to nurtowało, gdyż bandy ukraińskie nie zaprzestały, a wręcz wzmożyły swą działalność przestępczą, szczególnie zimą na przełomie 1944/45 roku.

Byliśmy wobec tej sytuacji całkowicie bezbronni, bo jak już wspomniałem, prawie wszyscy polscy mężczyźni, powołani zostali do wojska i walczyli na froncie, a wielu zaś Ukraińców zdezerterowało z armii z pełnym uzbrojeniem i zasililo szeregi UPA. Nadeszła noc sylwestrowa kończącego się 1944 roku. To właśnie w tę pamiętną noc grupa uzbrojonych bandytów otoczyła dom Ignacego Raclawskiego i brutalnie wdarła się do środka. Skrupulatnie przeszukali wnętrze, metr po metrze, znajdując ukrytych: gospodarza i Zygmunta Horodeckiego, którego od dawna poszukiwali. Tego ostatniego kilku bandytów wyprowadzało na pole i w bestialski sposób zamordowało. Pozostali na oczach roztrzęsionej i zszokowanej żony i śmiertelnie przerażonego syna, pastwili się nad gospodarzem, torturując go do utraty przytomności. Na koniec chcieli dobić go strzałem rewolwerowym, ale doszli do wniosku, że nie warto tracić naboju, ponieważ i tak do rana nie przeżyje, Raclawski przeżył i w pierwszy dzień nowego roku 1945, oparty o łaskę powlókł się do Husiatyna. Widziałem go

idącego obok naszego domostwa, był prawie granatowy. Widok człowieka tryskającego niegdyś zdrowiem i humorem, wstrząsnął mną do głębi. Szczegóły tej nocy zrelacjonował mi naoczny świadek syn Ignacego Raclawskiego – Fryderyk, po wielu latach w czasie jednego ze spotkań. W tę samą noc zamordowano także Stanisława Baranowskiego, a panią Stańkowską torturowali.

Nas potraktowali wyjątkowo łaskawie, bo skończyło się tylko na wybiciu szyb w domu. Świadkiem tego była moja kuzynka Józefa Domaradzka-Okrzesa, która owej tragicznej nocy ukrywała się w naszym domu.

Od tego wydarzenia prawie nie nocowaliśmy w domu, szukając schronienia gdzie tylko się dało, a w krytycznych momentach uciekaliśmy na noc do Husiatyna, gdzie przyjmowała nas życzliwa rodzina Ziobrowskich.

Do dziś nie mogę zapomnieć tych bez końca wlokących się bezsennych, zimowych nocy oraz przeraźliwego ujadania wiejskich psów,

Od czasu do czasu przychodziły listy od ojca z frontu, czekałem na ten charakterystyczny trójkąt z adresem poczty polowej. Pisał o swojej wojaczce, pytał o nasze zdrowie i pocieszał rychłym zakończeniem wojny.

Nadeszła wiosna 1945 roku. Szybko zazieleniały się trawy na łąkach, drzewa w sadach i krzewy w ogrodach.

Pamiętam dokładnie miesiąc maj tego roku. Zakwitły pełnym kwieciami drzewa owocowe. Cała wieś tonęła w bieli majowego kwiecia. Huczały roje pszczoł, zbierające nektar kwiatowy przez cały długi majowy dzień, a w ciszę wieczorną wdzierał się rechot żab oraz szum latających chrabąszczy. Wieczory były ciepłe, przesycone wiosennymi zapachami, dochodzącymi z łąk i ogrodów. Cała przyroda była w pełni rozkwitu. W jednym z takich pięknych majowych dni (10-11), dotarła do nas radosna nowina: Niemcy podpisały kapitulację – wojna skończona! Myślałem, że wraz z zakończeniem wojny, skończy się nasza wieloletnia niedola, że niedługo powróci do domu ojciec i wszystko potoczy się dalej jak za dawnych dobrych lat.

Niestety, dni mijały i nikt z Polaków do domu nie wracał. Zastanawiałem się dlaczego? Ogarniał mnie w coraz większym stopniu niepokój. Wkrótce tajemnica wyjaśniła się. Władze sowieckie oświadczyły Polakom, że oto wojna została zakończona, a wy Polacy musicie wyjechać do Polski, bo ziemie na których obecnie mieszkacie nie są już wasze – polskie. W związku z tym należy wyrabiać dokumenty i wyjeżdżać na zachód.

Jak to? Zostawić dorobek wielu pokoleń, rodzinną ziemię i jechać w nieznane? To absurd, to niemożliwe, to chyba jakaś straszliwa pomyłka, zastanawiali się czabarówiaczy gromadząc się po mszy wokół kościoła i debatując nad tym co robić dalej? Rzeczywistość była jednak brutalna. Władze sowieckie przystąpiły do realizacji planu wy-

siedlania Polaków, używając przeróżnych form nacisku, nie wyłączając szantażu, zastraszania i przymykania oczu na działalność band ukraińskich. Do wyjazdu zachęcały listy przychodzące z Polski od zdemobilizowanych żołnierzy polskich. Ojciec pisał, żeby wyjeżdżać, bo pozostawanie nie ma sensu. Wobec takiego stanu rzeczy, zaczęto wyrabiać dokumenty i przygotowywać się do wyjazdu. Nie było to jednak takie proste jak zapewniały władze. Wyrabianie dokumentów zajęło sporo czasu. Ponadto warunkiem uzyskania zezwolenia na wyjazd, było rozliczenie się z obowiązków wobec władzy radzieckiej, tzn. zdanie kontygentów z plodów rolnych, zapłacenie wszystkich podatków itp. Pamiętam, że matka moja musiała zapłacić podatek i za to, że nie miała dużo dzieci.

Pierwsze tranporty wyjeżdżały, o ile dobrze pamiętam, w miesiącu lipcu ze stacji w Husiatynie. Polacy ładowali się do wagonów, którymi przyjeżdżali do nas Ukraińcy wysiedlani z Bieszczad. My razem z rodziną: Jaworskich, Ogonowskich i Jadwińskich wyjechaliliśmy w październiku 1945 roku. Załadowaliśmy się wraz z dobytkiem do wagonów towarowych i ruszyliśmy na zachód. Przejeżdżaliśmy przez Czabarówkę. Mijaliśmy naszą rodzinną wieś w milczeniu i ze łzami w oczach. Opuszczaliśmy ją być może na zawsze. Rozpoczynaliśmy nowy nieznany etap naszego życia.

Od red. Autor jest członkiem Związku Expatriowanych z Czabarówki woj. tarnopolskie i kronikarzem corocznych Ogólnopolskich Zjazdów b. mieszkańców tej wsi.

Z dziejów medycyny lwowskiej

PROFESOR WŁADYSŁAW SZYMONOWICZ (1869-1939)

BIOGRAFIA NAUKOWA

ks. Józef Wołczański
Lwów

W roku bieżącym przypada jubileusz 100-lecia katedry histologii i embriologii na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Lwowskiego. Wspomniana katedra została powołana do życia dzięki zabiegom wybitnego uczonego i utalentowanego organizatora prof. dr. hab. Henryka Kadyja w 1896 r. Jednak dopiero dwa lata później, z chwilą powołania nań 29-letniego prof. dr. hab. Władysława Szymonowicza z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie zaczął się „złoty okres” w jej dziejach. Odtąd każdy niemal rok przynosił nowe odkrycia naukowe młodego uczonego o szerokim rezonansie, wprowadzając jego nazwisko, a tym samym piastowaną przezeń katedrę w uniwersalny obieg myśli ludzkiej i historii.

Władysław Szymonowicz urodził się w inteligentnej, ormiańskiej ale spolonizowanej rodzinie Władysława i Joanny z domu Kosińskiej. Ojciec z wykształcenia i zawodu był prawnikiem zatrudnionym w sądownictwie, natomiast matka zgodnie z ówczesnym modelem rodziny prowadziła domowe gospodarstwo. W rodzinie Szymonowiczów od wielu pokoleń funkcjonowały równorzędnie trzy tradycje: prawnicza, lekarska i duchowna; dość wspomnieć, iż bardzo bliskim krewnym Władysława był arcybiskup ormiańskokatolicki Lwowa Grzegorz Michał Szymonowicz (1800-1875). Władysław został ochrzczony w obrządku ormiańsko-katolickim swoich przodków.

Edukację na stopniu podstawowym odbył w Tarnopolu, po czym wraz z rodziną przeniósł się do Lwowa ze względu na służbowe obowiązki ojca. Tu wstąpił do renomowanego, z polskim językiem wykładowym gimnazjum im. Franciszka Józefa I, w którym uczył się w la-

tach 1880-1887. Dnia 22.VI.1887 r. złożył egzamin dojrzałości, uzyskując dyplom maturalny. Jako przedmiot dalszych studiów wybrał medycynę. Decyzja ta pociągnęła za sobą konieczność wyjazdu do Krakowa, bowiem na terenie ówczesnej Galicji jedynie w Uniwersytecie Jagiellońskim funkcjonował wtedy wydział Lekarski. Jesienią 1887 r. został zatem przyjęty w poczet studentów krakowskiej Almae Matris. Zapewne już dość wcześnie dał się poznać z wyjątkowych zdolności, skoro w 1890 r., a więc na czwartym roku studiów powierzono mu obowiązki demonstratora, a od stycznia 1891 r. do października 1895 r. pełnił funkcję asystenta w dziale histologicznym przy katedrze fizjologii u prof. Napoleona Cybulskiego. Jeszcze jako student zadebiutował na polu pisarskim rozprawą opartą o badania empiryczne pt.: „Zakończenie nerwów we włosach dotykowych myszy białej” (Kraków 1892), wnoszącej nowe, nieznane wcześniej w medycynie ustalenia.

Studia medyczne ukończył w marcu 1893 r., uzyskując dyplom doktora wszech nauk lekarskich. Przez najbliższe dwa lata pozostał u boku prof. N. Cybulskiego w charakterze asystenta, kontynuując badania naukowe i publikując ich wyniki.

I tak na posiedzeniu Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie w 1894 r. prof. N. Cybulski zaprezentował oryginalną pracę Szymanowicza pt.: „O wchłanianiu tłuszczu w jelicie grubym”, ogłoszoną drukiem w roku następnym. W 1895 r. na kolejnym posiedzeniu polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie mistrz Szymonowicz zreferował kolejną rozprawę swego asystenta „O budowie zębiny” (Kraków 1895). Prekursorskie wyniki badań w skali światowej nad tą problematyką nie weszły

wszakże do obcojęzycznej literatury przedmiotu, bowiem zostały one opublikowane jedynie w języku polskim, co nie umniejsza bynajmniej ich rangi i znaczenia. U progu kariery naukowej młodego uczonego spotkało go jeszcze jedno zaszczytne wyróżnienie: w czasie wystawy przyrodniczo-lekarskiej połączonej z VI Zjazdem Przyrodników i Lekarzy polskich w Krakowie przyznano mu medal za zestaw mikroskopowych preparatów.

Nieprzeciętne osiągnięcia naukowo-badawcze 26-letniego Szymonowicza zwróciły nań uwagę świata uczonych, co zadecydowało o dalszych jego losach. I tak w 1895 r. otrzymał on stypendium z Ministerstwa Oświaty, dzięki czemu wyjechał na trzy miesiące (styczeń-marzec) do Berlina. Tam zetknął się z wybitnymi uczonymi H. Virchowem i prof. Oskarem Hartwigiem. W pracowni tegoż ostatniego Szymonowicz prowadził badania nad zagadnieniem genezy i struktury ciałek dotykowych Merkla. Ich wyniki ogłosił drukiem w pracy pt.: „Beiträge zur Kenntniss der Nervenendigungen in Hautgebilden” na łamach niemieckiego czasopisma medycznego w 1895 r. Praca ta wprowadziła nazwisko Szymonowicza do fachowej literatury światowej. Po raz pierwszy bowiem zajął się on genezą ciałek dotykowych Merkla, wskazując na ich nabłonkowy charakter oraz opisał szczegółowo formę zakończeń nerwowych. W dołączonych do pracy ilustracjach przedstawił również po raz pierwszy specjalne nerwowe włókna ultraterminalne, które nieco później Szymonowicz określił mianem pętli łączących.

Jeszcze przed wyjazdem do Berlina, Szymonowicz podjął badania fizjologiczne nad problematyką nadnerczy. Miały one już wkrótce przynieść mu światową sławę i rozgłos. Okazało się bowiem, że usunięcie metodą operacyjną obu nadnerczy u doświadczalnych zwierząt wywoływało w ciągu kilkunastu godzin gwałtowny spadek ciśnienia krwi, co kończyło się śmiercią. Natomiast dożylne wprowadzenie do organizmu wyciągu z nadnerczy – adrenaliny, podnosiło ciśnienie krwi przy zwolnieniu tętna. Odkrycie tej prawidłowości spowodowało swoistą rewolucję w świecie medycznym. Jednakże równoległe choć niezależnie od Szymonowicza analogiczne badania prowadzili dwaj uczeni: prof. Schäfer i prof. Oliver, którzy pierwsze ustalenia ogłosili drukiem nieco wcześniej od Szymonowicza, natomiast drugie – o wiele obszerniejsze – później od polskiego naukowca. Mieli oni nad nim tę przewagę, iż wyniki swoich badań opublikowali w angielskojęzycznych sprawozdaniach Instytutu Fizjologicznego w Londynie, dzięki czemu natychmiast znalazły się w ogólnoświatowym obiegu. Pomimo tego w literaturze przedmiotu nazwiska Schäfera, Olivera i Szymonowicza wymieniana się równorzędnie jako odkrywców czynności nadnercza. Wyniki swych badań Szymonowicz ogłosił drukiem w kilku rozprawach. Jako pierwsza została zreferowana na posiedzeniu Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie 4.II.1895 r. rozprawa pt.: „O objawach po wycięciu nadnerczy u psów i o działaniu wyciągów z nadnercza”, ogłoszona drukiem tego samego roku w Krakowie w języku niemieckim. Kolejne prace to: „O nadnerczu ze stanowiska morfologicznego i

fizjologicznego” (Kraków 1895), „Die Funktion der Nebenniere” – drukowana na łamach specjalistycznego periodyku niemieckiego z dziedziny psychologii w 1895 r. i wreszcie „Die Lehre von der Funktion der Nebenniere” – opublikowana w miesięczniku praktycznej medycyny w Cieszynie 1897 r.

Po powrocie z Berlina wiosną 1895 r. do Krakowa, Szymonowicz w dalszym ciągu pełnił obowiązki asystenta na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. W październiku tegoż roku przeprowadził swą habilitację z zakresu histologii na podstawie rozprawy „O nadnerczu ze stanowiska morfologicznego i fizjologicznego” (Kraków 1895), awansując na stopień docenta prywatnego. Bezpośrednio po habilitacji cały rok akademicki 1895/96 Szymonowicz spędził ponownie w Berlinie. Stało się to możliwe dzięki przyznaniu mu stypendium im. Śniadeckich z fundacji S. Gałęzowskiego w wysokości 5 000 franków. Począwszy od października 1895 r. aż do końca września 1896 r. prowadził badania naukowe w pracowni prof. Oskara Hartwiga. Ich wyniki opublikował w dwóch rozprawach:

„Ein Fall von Hermaphroditismus verus bilateralis beim Schweine, nebst Bemerkungen über die Entstehung der Geschlechtsdrüsen aus dem Keimepithel” – druk na łamach berlińskiego periodyku anatomicznego w 1896 r., natomiast druga praca nosiła tytuł „Über den Bau und die Entwicklung der Nervenendigungen im Entenschnabel” – wydana dwukrotnie w Berlinie i w Krakowie 1896 r. Trwałe znaczenie zdobyła zwłaszcza druga z owych prac, bowiem podjęła nowy problem genezy i struktury komórek dotykowych ciałek Grandry’ego.

Po powrocie do Krakowa jesienią 1896 r., Szymonowicz kontynuował wykłady na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego przez semestr zimowy 1896/97. Niebawem przyszło mu wszakże rozstać się z macierzystą uczelnią, bowiem 3.II.1897 r. w wieku 28 lat został mianowany profesorem nadzwyczajnym histologii i embriologii na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Lwowskiego. Nominacja na profesora zwyczajnego nadeszła sześć lat później, 14.II.1903 roku. Odtąd przez okres 40 lat związany był z Uniwersyteciem Lwowskim, a ze Lwowem aż do swej śmierci w 1939 roku. Jego powrót do tegoż miasta był nader znamienny: opuścił je zaledwie 10 lat wcześniej jako maturzysta, a wracał jako dojrzały uczonego o głośnym, światowym nazwisku w dziedzinie medycyny. W rok po angażu we lwowskiej Almae Matris, 1.IV.1898 r. został kierownikiem Katedry Histologii i Embriologii oraz Zakładu Histologiczno-Embriologicznego. Kilka lat później, w roku akademickim 1906/07 powierzono mu obowiązki dziekana, a w roku akad. 1907/08 prodziekana Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Lwowskiego.

W początkowym okresie swej działalności w środowisku lwowskim prof. Władysław Szymonowicz zajął się organizacją pracy dydaktyczno-naukowej, wyposażeniem Zakładu Histologiczno-Embriologicznego w niezbędne pomoce oraz przygotowaniem młodej kadry pracowników.

Zarówno katedra jak i zakład histologiczno-embriologiczny w Uniwersytecie Lwowskim istniały zaledwie od 1896 roku. Zajmowały one pomieszczenia w środkowym gmachu medycyny teoretycznej przy ul. Piekarskiej 52. Dysponowały one 7 pokojami i zamkniętym korytarzem na parterze prawej frontowej części gmachu, jak również dwoma pomieszczeniami w suterrenach prawego skrzydła. W centralnych salach mieściły się: gabinet i pracownia profesora jak też demonstratorów oraz pokój dla pracowników, natomiast w skrzydle prawym urządzono salę wykładową, salę ćwiczeń i pokój asystenta. Gabinet profesora wyposażono w bibliotekę, w pracowniach zaś muzeum zakładowe. W suterrenach zorganizowano akwarium, klatki ze zwierzętami do przeprowadzenia eksperymentów oraz warsztat stolarski. W 1910 r. wskutek wzrostu frekwencji samodzielnych pracowników naukowych chętnych do prowadzenia badań w zakładzie prof. Szymonowicza, przystosowano jedną z sal w suterrenach na dodatkową pracownię. Pracownie posiadały niezbędne przyrządy i pomoce naukowe zakupione za sumę 11 050 koron i 69 halerzy, kosztu zorganizowania biblioteki wyniosły 4 191 koron i 85 halerzy, a wyposażenie muzeum zamykało się sumą rzędu 1 418 koron i 20 halerzy. Biblioteka do 1912 roku składała się ze 139 tomów oraz prenumerowała kilkanaście tytułów obcojęzycznych czasopism naukowych. W muzeum do roku 1912 zgromadzono 127 woskowych modeli embriologicznych, 120 preparatów anatomicznych i blisko 6 000 preparatów histologicznych i embriologicznych. W zakładzie zatrudniony był jeden służący, zaś od roku akad. 1898/99 przy katedrze pracował na etacie jeden asystent, a przy zakładzie dwóch demonstratorów. W latach 1896-1910 coroczna dotacja zwyczajna na rzecz zakładu wynosiła 800 koron; od letniego półroczia 1910 r. studenci wnosili opłatę 4 koron półrocznie za ćwiczenia histologiczne.

Okres lwowski – galicyjski i w niepodległej II Rzeczypospolitej – należy do najbardziej twórczego w życiu prof. Szymonowicza. Jednym z głównych zamierzeń i osiągnięć był pomysł opracowania podręcznika histologii i anatomii mikroskopowej. Początkowo autor zamierzał ogłosić go w języku polskim, ale wskutek trudności ze znalezieniem wydawcy musiał zrezygnować z tego zamiaru. Wobec tego przygotował pracę w języku niemieckim: „Lehrbuch der Histologie und der mikroskopischen Anatomie mit besonderer Berücksichtigung des menschlichen Körpers einschliesslich der mikroskopischen Technik mit 169 Original-Illustrationen im Text und 81 desgleichen auf 52 teils farbigen Tafeln (Würzburg 1901). Tego samego roku ukazało się tłumaczenie włoskie, w 1902 r. angielskie. Do 1936 r. dzieło prof. Szymonowicza osiągnęło 12 edycji w pięciu językach: niemieckim, angielskim, włoskim, polskim i hiszpańskim, co najlepiej świadczy o jego naukowej wartości.

Unikalne walory książki podkreślały również recenzje czołowych europejskich czasopism medycznych. Równocześnie prof. Szymonowicz był współautorem dzieła

zbiorowego „Podręcznik histologii ciała ludzkiego” (Warszawa 1901). Dwa lata później wszedł do grona współautorów niemieckojęzycznej pracy zbiorowej „Encyklopadie der mikroskopischen Technik”, (Berlin-Wien 1903, 2 wydanie w 1910 r.). Z kolei na łamach „Lwowskiego Tygodnika Lekarskiego” w 1907 r. Szymonowicz ogłosił pracę „O zakończeniach nerwowych we włosach człowieka”, poszerzoną w wersji niemieckojęzycznej dwa lata później. Spotkała się ona z dużym uznaniem specjalisty z dziedziny zakończeń nerwowych – prof. Botezat’a i była cytowana w europejskiej literaturze przedmiotu. Do tej problematyki Szymonowicz wrócił ponownie w 1910 r. ogłaszając wspólnie z dr. Janem Zaczkiem w księdze jubileuszowej wydanej ku czci swego mistrza prof. Napoleona Cybalskiego rozprawę „Badania porównawcze nad unerwieniem włosów zatokowych”.

Następne lata swych badań prof. Szymonowicz poświęcił m. in. gromadzeniu materiału dziedziny zakończeń nerwowych oraz jego rzetelnemu opracowaniu. Dzięki temu, do wybuchu I wojny światowej w 1914 r. Instytut Histologii i Embriologii Uniwersytetu Lwowskiego dysponował jednym z najbogatszych na świecie zbiorów zakończeń nerwowych „włókien zatokowych”. Dalszy rozwój pracy dydaktyczno-naukowej profesora i jego Instytutu przerwała I wojna światowa.

Nowy okres rozmachu jego pracy naukowej miał miejsce w odrodzonym państwie polskim. Prof. Szymonowicz nosił się z zamiarem opracowania monografii na temat zakończeń nerwowych u ssaków. Sprowadził więc bogaty materiał doświadczalny, dzięki czemu muzeum zakładowe mieściło preparaty z 47 gatunków ssaków i 88 gatunków ptaków. Zanim do tego doszło, światło dzienne ujrzały kolejne wielojęzyczne edycje podręcznika histologii i anatomii mikroskopijnej pióra Szymonowicza, w tym długo oczekiwane dwa wydania polskie: w 1921 i 1924 roku. Jego prace zaczęły się pojawiać na łamach francuskojęzycznych periodyków naukowych; jako pierwsza została wydrukowana rozprawa o rozwoju zakończeń nerwowych w skórze ludzkiej: „Sur le développement des terminaisons nervenses dans la peau l’homme” w formie komunikatu z polsko-francuskiego II Kongresu Medycznego w Paryżu 21.IV.1925 roku. Druk tej rozprawy doszedł do skutku rok później. Podobnie w 1926 r. Szymonowicz ogłosił we francuskim

Dr. WŁADYSŁAW SZYMONOWICZ
Profesor histologii i embriologii (Lwów, 18. 1. 1874 - Łódź, 19. 1. 1944)

PODRĘCZNIK HISTOLOGII i ANATOMII MIKROSKOPOWEJ

z uwzględnieniem szczególnym
ciała ludzkiego
łącznie z techniką mikroskopową

Drugie wydanie
poprawione według niemieckiego

Prof. W. Szymonowicza i Prof. R. Kreusego
(Lwów, 1924)

Z 1000 egzemplarzy w 100000 egzemplarzach

1924
HAKKADEN
OUBREYNOWICZA I SYHA
WE LWOWIE WYDAWNICTWA

biuletynie histologicznym oryginalną pracę opisującą po raz pierwszy formę dwumeniskowych ciałek Merkla: „Sur une nouvelle variété des corpuscules de Merkel chez les coiseaux”. I tym razem był to komunikat ze wspomnianego wcześniej kongresu. W 1927 r. prof. Szymonowicz uzyskał stypendium z polskiego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego celem odbycia podróży naukowej do Hiszpanii oraz Holandii. W Madrycie zwiedził instytut Cajala prowadzący badania histologiczne, nawiązał kontakty z wybitnymi hiszpańskimi uczonymi, zaprezentował przywiezione ze sobą preparaty w obecności światowej sławy profesora histologii i anatomii patologicznej w Madrycie oraz kierownika wspomnianego instytutu – Santiago Ramony Cajala i jego współpracowników. Zarówno preparaty jak i metoda wykorzystana do ich sporządzania spotkały się z wielkim uznaniem hiszpańskich gospodarzy. Z Madrytu via Paryż prof. Szymonowicz dotarł do Holandii. Po zwiedzeniu Amsterdamu osiągnął cel swojej podróży – Utrecht, gdzie zapoznał się z unikalnymi preparatami zakończeń nerwowych zgromadzonych przez prof. J. Boeke'go. Obie te wizyty wzbogaciły wiedzę prof. Szymonowicza na temat metod srebrnych barwień zakończeń nerwowych.

Zarówno zgromadzony wcześniej materiał, jak i podróże naukowe zaowocowały nowymi publikacjami. Tak więc w 1929 roku prof. Szymonowicz ogłosił w specjalistycznym periodyku francuskim rozprawę poświęconą nieznanym dotąd formom zakończeń nerwowych w językach papug pt.: „Sur les terminaisons nerveuses de la langue du Perroquet”. Rok później w Krakowie ujrzała światło dzienne kolejna jego praca, tym razem w języku niemieckim: „Die Innervation der Sinushaare des Seehundes”. Autor opisał w niej zakończenia nerwowe we włosach zatokowych u foki. Dzięki zastosowaniu metody barwienia błękitem metylenowym uzyskał jako pierwszy z badaczy obraz właściwych form zakończeń nerwowych. W 1933 r. opublikował rozprawę w niemieckim periodyku naukowym na temat: „Über die Entwicklung der Nervenendigungen in der Haut des Menschen”. I w tym przypadku prof. Szymonowicz jawi się jako prekursor, omawiając po raz pierwszy w literaturze fachowej etapy rozwoju zakończeń nerwowych w ludzkiej skórze. W 1933 roku na Zjeździe Lekarzy i Przyrodników Polskich w Poznaniu zaprezentował referat „O połączeniach nerwowych w formie pętli pomiędzy meniskami dotykowymi ciałek Merkla”, wydrukowaną najpierw w formie streszczenia w „Pamiętniku Zjazdu” (Poznań 1933), a rok później w całości w „Folia Morphologica”, t.5. Zaslugą autora w tym przypadku było opisanie po raz pierwszy struktury, genezy i znaczenia specjalnych form włókien ultraterminalnych. W 1934 roku otrzymał godność członka czynnego Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.

Znany i sławny w kręgach światowej nauki prof. Szymonowicz uczestniczył na specjalne zaproszenie w jubileuszu znanego mu osobiście prof. J. Boekego z Uniwersytetu w Utrechcie. Dedykował mu pracę „Über die

Tastzellen und Tastkörperchen bei den Hühnervögeln”, drukowaną w okolicznościowym wydawnictwie w 1934 r. Podjął w niej temat zakończeń dwumeniskowych wielokolumnowych w brodawkach podniebienia ptaków, który dotychczas nie został jeszcze opisany. Kontynuację tej problematyki autor zawarł w artykule „Über die Tastkörperchen der Vögel”. drukowanym w periodyku niemieckim. Na trzy lata przed śmiercią, w 1936 r. prof. Szymonowicz opublikował pierwszą z trzutomowej serii pracę pt.:

„Vergleichende Untersuchungen über die Innervation der Sinushaare bei den Säugern”. Inaugurowała ona monograficzny tryptyk z problematyki zakończeń nerwowych u kilkudziesięciu gatunków ssaków, do którego to dzieła autor gromadził skrupulatnie materiały przez dziesięciolecie. Niestety, nie udało się ustalić, czy pozostałe projektowane tomy wyszły z drukarni przed wybuchem II wojny światowej.

Poza publikacjami o ściśle naukowym charakterze, prof. Szymonowicz zajmował się popularyzacją wiedzy, m.in. na łamach tygodnika przyrodniczego

„Wszechświat”. Na uwagę zasługują również sprawozdania z podróży naukowych do Madrytu i Utrechtu publikowane na łamach „Polskiej Gazety Lekarskiej”. Niebagatelnym osiągnięciem prof. Szymonowicza były także liczne szeregi młodych lekarzy, wykształconych pod jego kierunkiem, z których wielu podjęło wzorem mistrza pracę naukowo-badawczą. Dość wspomnieć tu choćby najgłośniejsze nazwiska: prof. Bolesław Jałowy – od 1937 r. następca na Katedrze Histologii i Embriologii Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (zamordowany przez nacjonalistów ukraińskich we Lwowie w październiku 1943 r.), prof. Jan Grek – specjalista z zakresu szczegółowej patologii i terapii chorób wewnętrznych (zamordowany przez Niemców na Wzgórzach Wuleckich 4.VII.1941 r.), dr Karol Hornung, dr Eugeniusz Doliński – naczelny lekarz miejski i wykładowca higieny społecznej oraz ustawodawstwa sanitarnego na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, dr Władysław Wiśniowski i in. Prowadzone przez nich badania naukowe i publikacja ich wyników również możliwe były dzięki patronatowi prof. Szymonowicza.

Wybitne osiągnięcia dydaktyczno-naukowe i badawcze Szymonowicza spotkały się z uznaniem wielu instytucji i gremiów naukowych. I tak Polska Akademia Umiejętności oraz towarzystwo Naukowe we Lwowie powołały go na swych członków czynnych, natomiast Towarzystwo Lekarskie w Częstochowie, Warszawie i Wilnie obdarzyły go godnością członka honorowego. Latem 1939 r. uroczystie świętowano we Lwowie 40-lecie pracy naukowej prof. Szymonowicza. Z tej okazji jego uczeń i późniejszy następca na katedrze – prof. Bolesław Jałowy dedykował jubilatowi obszernie omówienie jego curriculum vitae z uwzględnieniem osiągnięć naukowo-badawczych, ogłoszone w okolicznościowym numerze „Polskiej Gazety Lekarskiej” z lipca 1936 r. Było to zarazem pożegnanie mistrza i współpracownika, który z

dniem 31.X.1937 r. przeszedł na emeryturę. Ostatnie dwa lata pracowitego życia spędził w domowym zaciszu przy ul. Piłsudskiego 18. Dla pełnego obrazu warto dodać, że prof. Szymonowicz żonaty był z Zofią Celestyną Jakubek, z którą miał dwóch synów. Zmarł 10.III.1939 r., a dwa dni później pogrzebany został w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Wybuch II wojny światowej i rzeczywistość powojenna przeszkodziły w godnym uczczeniu grobu zmarłego. Dopiero w 1994 r. staraniem pracowników naukowych przy katedrze histologii i embriologii Lwowskiego Medycznego Instytutu ufundowano nagrobne epitafium.

Bibliografia selektywna

1. Teczka personalna prof. dr. hab. Władysława Szymo-

nowicza, Derżawnyj Archiw Lwiwskojj Oblasti u Lwowi, fond. 5, opis 5, nr 2120.

2. M. Chlamtacz, L. Finkiel, Kronika Uniwersytetu Lwowskiego. t. 1: 1894/95-1897/98, Lwów 1899.

3. W. Hahn, Kronika Uniwersytetu Lwowskiego, t.2: 1898/99-1909/10. Lwów 1912.

4. J. Jallowy, Dr Władysław Szymonowicz profesor histologii i embriologii Uniwersytetu Jana Kazimierza 1896-1936. (Z okazji czterdziestoletniej działalności naukowej), „Polska Gazeta Lekarska”, 15(1936), nr 28-29, s. 525-527.

5. Dokumenty osobiste i rozprawy naukowe ogłoszone drukiem udostępnione autorowi przez Panią Janinę Szybałską (Lwów), za co składam Jej w tym miejscu serdeczne podziękowanie.

6. W. Wojtkiewicz-Rok, Pasjonaci wiedzy, „Biuletyn Ossolineum”, 1995 r., nr 3.

Z lwowskiego lamusa

Rozmaitości – pismo dodatkowe do Gazety Lwowskiej nr. 22 z 30 maja 1835 roku.

Satyryczny opis Lwowa

Ta stolica Galicji zawiera 2480 po większej części w dobrym stylu zbudowanych domów, i 48731 mieszkańców, podług konskrypcji z r. 1834 (nie licząc w to przybyłych i załogi); między temi znajduje się 25133 osób płci żeńskiej, a 23598 płci męskiej. Duchownych jest 172, szlachty 867, urzędników 1100, rękodzielników, artystów, uczniów i w miejscu urodzonych akademików 878. Przybyłych w ogóle mieszka tu podług ostatniej konskrypcji z r. 1834: 6891, z tych płci męskiej 3729, żeńskiej 2797; cudzoziemców męskich 341, żeńskich 24. Załoga wynosi w przecięciu 6000 żołnierza. Najmniejsza liczba niekonskrybowanych dochodzi 4000. Podług tego wyrachowania cała ludność przy końcu r. 1834, podług podań urzędowych składała się z 66 622 dusz. Miasto dobrze jest wybrukowane, ma piękne przechadzki, szerokie, czyste i oświecone ulice. Lwów jest siedliskiem krajowego rządu, sądu apelacyjnego i kryminalnego, jeneralnej wojskowej komendy, sądu szlacheckiego dla 6 obwodów, 3 arcybiskupów, ewangelickiej superintendenty i najstarszego rabinatu. Znajduje się tu uniwersytet, który w roku szkolnym 1835 liczy

1350 uczących się (nie zaś 200, jak donosiło najtańsze Panorama des Universums, wydawane przez prof. Gerle w Pradze). W r. 1815, gdy ten zakład był na stopie liceum, uczęszczało tylko 604, a w r. 1810, gdy został uniwersytetem 827

uczących się. Przy uniwersytecie jest biblioteka ze 45000 tomów, zbiór monet do 10 000 sztuk, bogate muzeum fizyczne i anatomiczne, przytem i gabinet naturalny. Oprócz tej biblioteki znajduje się tu zakład narodowy imienia Ossolińskich, gdzie liczą 45000 tomów, 1200 rękopisów, 15000 sztuk monet i medalów, 2000 rycin, 300 obrazów, z wielkim zbiorem listów, starożytności, pamiątek itd. Do tej liczby należy i stanowa akademija, w której uczą języka włoskiego i francuskiego, rysunków, sztuki fechtowania, jeźdźnia konno i tańców, także realna akademija, 1 szkoła położnicza, główna szkoła wzorowa (Musterhauptschule), 2 główne, 4 dla dziewcząt i 5 parafialnych szkółek, 2 seminaryja, 2



gymnazyja, instytut głuchoniemych, zakład dla sierot. Od roku szkolnego 1830, co nie wszystkim wiadomo, zaprowadzono tu wydział filozoficzny i teologiczny dla zakonników w całej Galicji. Znajduje się tu 1 publiczny szpital, 1 szpital sióstr miłosierdzia, 1 wojskowy, 1 izraelski, 1 szpital dla kalek i 1 dom pracy. Miasto ma najpiękniejszy może w całym Państwie Austriackim ratusz, 23 kościoły, 9 klasztorów, 1 luterski kościół, 1 greko-dysunicki dom modlitwy i 2 główne synagogi. Fabryk Lwów nie posiada żadnych, oprócz jednej fabryki cukru, we wsi Krzywczycze o pół mili ode Lwowa.

(Mnem.)

(Przysłał p. Adam Rosenbusch z Monachium)

KAPLICZKA

Janusz Ragankiewicz

Idąc Łyczakowską, przystanę-
łem na chwilę przy cerkwi pw.
Piotra i Pawła, aby odpocząć,
wszak minęło tyle dziesiątków
lat, od czasów gdy biegałem po
mojej ulicy.

Spojrzałem w
dół ulicy Piotra i
Pawła, potem
wzrok przenio-
słem na widniejący
w dali, oświetlony
promieniami za-
chodzącego słońca
kościół Matki Bo-
skiej Ostrobram-
skiej, gdy nagle we
swych wspomnie-
niach przeniosłem
się w czasie, w
przeszłość...

Jestem mały,
mam około 8 lat i
wracam z odwie-
dzin u ciotecznej
siostry Oleńki,
która mieszka na
Filipówce. Przyje-
chałem tramwa-
jem, „trójką”, wy-
siadłem właśnie
tutaj u zbiegu ulic

Łyczakowskiej i Piotra i Pawła.
Do domu mam niedaleko, bo tyl-
ko jeden przystanek „jedyński” i
gdy się tak rozglądam, dobiega
mnie śpiew, pamiętam dokładnie
słowa... „Zacznijcie wargi nasze
chwalić Pannę świętą, zacznijcie
opowiadać cześć Jej niepojętą...
Dość szybko zorientowałem się,
że śpiew dochodzi do mnie nie z
cerkwi przy której stoję, no bo to
przecież niemożliwe, po pol-
sku(?), lecz ze stojącej nieopodal,
zaraz za wylotem Krupiarskiej,

kapliczki Matki Boskiej. Cała
oszlona, wewnątrz oświetlona,
rozświetlała dookoła swój ciepły
blask. I wewnątrz, i na zewnątrz
klęczący ludzie, większość to ko-
biety, ale i dzieci nie brak.



*Kapliczka na Łyczakowie.
Ze zbiorów mgr inż. arch. M. Rogalskiego*

Dopiero sobie uzmysłowiłem,
że to przecież nabożeństwo ma-
jowe, wszak jest maj, najpiękniej-
szy miesiąc, gdy wszystko co nas
otacza budzi się do życia. Lwow-
ski maj. Całe miasto wydaje się
jakby przystrojone, wszędzie
świeża zieleń liści i biel, to kwitną
kasztanowce. „...i uproś nam u
Syna Swego miłego odpuszcze-
nie wszystkich grzechów na-
szych...”

Podchodzę bliżej, widzę smu-
kłą figurkę Matki Boskiej, naszej,

Łyczakowskiej, jak stoi pośród
bukietów z narcyzów i niezapom-
inajek. Goreją świece. „... o
mężna białogłowo, Judyt wojują-
ca – od niewoli okrutnej lud swój
ratująca...” Poddaję się nastrojo-
wi i przyłączam się do śpiewają-
cych, wszystko dookoła znika,
nie zauważam nawet przejeżdża-
jących cicho „jedyńki”, śpiewam
razem ze wszystkimi i zdaje mi
się, że wraz z ulatującymi do
góry słowami, ulatuję i ja. Jest mi
dziwnie lekko i rzewnie.

„...witaj Matko szlachetna w
panieńskiej czystości – gwiazda-
mi uwieńczona, Pani łaskawo-
ści...” Mijają minuty, jeszcze śpie-
wam ze wszystkimi kończąc to
nabożeństwo słowa: „Z pokło-
nem Panno Święta ofiaruję to-
bie, te Godzinki ku większej czci
Twojej i ozdobie...”, gdy słyszę
nagle wyraźny głos: „te, batiar,
uważaj, bo jeszcze cię samolot
przejedzie” to głos mojego bra-
ta Jurka, który momentalnie
przywołuje mnie do rzeczywi-
stości.

I znowu jestem na mojej Ły-
czakowskiej, ale Anno Domini
1993, którą odwiedzam podczas
kolejnego pobytu na wycieczce
do Lwowa. Jaki paradoks, ja
lwowianin z dziada pradziada,
mogę odwiedzać moje rodzinne
miasto jedynie jako uczestnik wy-
cieczki. Wracamy do hotelu, nie
odzywam się do brata, mam do
niego ukryty żal, bo czemu mnie
przywołał do rzeczywistości,
przecież mi „tam” było tak do-
brze, wszak byłem w polskim
Lwowie!

Już po napisaniu tych wspo-
mnień, wyczytałem w „Gazecie
Lwowskiej”, że kapliczka jest już
odbudowana i od czerwca będą
się w niej odbywały nabożeństwa.
Tak więc spełniło się jedno z
moich marzeń, a pozostałe?

Wczoraj-dziś-jutro. Notatnik kresowy

Zbigniew Umański

Wielkanocne dary

Przed Świątami Wielkanocnymi wrocławskie organizacje kresowe, parafie rzymsko-katolickie i PCK przesłały dary Rodakom za wschodnią granicą. Transport żywności, lekarstw, odzieży i książek przeznaczony był dla polskiej szkoły we Lwowie oraz dla parafii rzymsko-katolickich w Kamionce Strumiłowej, Rudkach, Fastowie i Siemianówce. Imienne paczki żywnościowe dla najbardziej potrzebujących pomocy Polaków we Lwowie przesłały 2 kluby TMLiKPW – „Leopolis” i „Orląt Lwowskich”.

„Słowiki z Drohobycza”

Wrocławskich kresowiaków odwiedził przed świątami Wielkanocnymi 25-osobowy chór dziecięco-młodzieżowy z Drohobycza. Na spotkaniu z członkami TMLiKPW pięknie zaśpiewał kilkanaście znanych pieśni polskich zbierając gromkie brawa i...świąteczne upominki, które przygotowały Klub „Leopolis”, Wrocławski Oddział TMLiKPW oraz fundacja „Semper Fidelis”. Założycielem i chórmistrzem drohobyckich słowików jest przedwojenny jeszcze, ale wciąż pełen sił i wspaniałego głosu, pedagog-muzyk prof. Alfred Schreyer, który także zaśpiewał wzruszonym wrocławskim kresowiakom stare, niegdyś b. popularne piosenki sprzed lat.

Goście ze Lwowa

W połowie kwietnia br. Zarząd Główny TMLiKPW gościł p. Stanisława Czerkasa, Prezesa Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Poinformował on o zgodzie władz miejskich Lwowa na zorganizowanie w tym mieście latem br. światowego zjazdu b. mieszkańców Lwowa, o co zabiegano od lat. Czy dojdzie do skutku? Jeszcze nie wiadomo. Do załatwienia pozostało wiele spraw. Drugim miłym gościem był p. Zbigniew Chrzanowski, reżyser i aktor polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Jego teatr wybiera się w czerwcu do Polski.

Pamięci „Magdy”

Już rok minął od śmierci śp. Marii Sawickiej – lwowianki, wieloletniej prezes Oddz. Wrocławskiego TMLiKPW, współtwórczyni lwowskiego kabaretu wrocławskiego, dla którego pisała teksty i występowała. Dzięki niej powstały:

„Lwowskie Boże Narodzenie” i „Lwowska Wielkanoc” oraz inne nagrania. W rocznicę odejścia „Magdy”, jak ją nazywano, Wrocławski Oddział TMLiKPW zorganizował wieczór wspomnień poświęcony Jej osobie. Przyjaciele, z którymi tworzyła i występowała przypomnieli Jej lwowską młodość, pasję

utrwalania już we Wrocławiu – w słowie i piosence – lwowskiego bałaku i humoru. Odtworzyli fragmenty tekstów przez Nią napisanych i wspólnie odtworzonych na antenie. Miała jeszcze drugą wielką pasję – turystykę o której opowiadał Jej mąż Leszek. A potem wszyscy razem śpiewali lwowskie piosenki, które Ona napisała, na akordeonie grał p. Antoni Nowosad, który ułożył do nich melodię...

„Zeszyty Tłumackie”

Jest to kolejne pismo kresowian, które ukazywać się będzie co kwartał we Wrocławiu a redaguje go zespół: D. Tabińska-Juhasz, A. Panachida-Bocheńska, K. Ossowska-Korta, H. Bilińska. Wydawcą jest Ogólnopolski Oddział Tłumaczan TMLiKPW we Wrocławiu. Redakcja zwraca się do wszystkich Tłumaczan o nadesłanie swoich wspomnień do redakcji na adres: Zarząd Główny TMLiKPW 50-079 Wrocław ul. Ruska 32/33 „Zeszyty Tłumackie”.

Odczyty i prelekcje

– Polityka narodowościowa Ukrainy – była tematem prelekcji, którą wygłosił w auli Politechniki Wrocławskiej (29.III.br.) red. Jan Andrzej Stepek, historyk z wykształcenia, zajmujący się stosunkami polsko-ukraińskimi na spotkaniu z członkami Oddz. Wrocławskiego i Klubu „Leopolis” TMLiKPW.

Prelekcja połączona była z projekcją filmów telewizyjnych „Sąsiedzi po obu stronach”, „Lwów” oraz „Strażnik świętego ognia” – o zmarłym niedawno biskupie-sufraganie Władysławie Kiernickim, długoletnim duszpasterzu polskich katolików we Lwowie, których red. Stepek jest autorem. Spotkanie wzbudziło duże zainteresowanie i wywołało ożywioną dyskusję.

– Kościół i kultura polska na Kresach Wschodnich w okresie 1375-1939 – były tematem odczytu dr Danuty Nespiaak, red. Semper Fidelis. Miała ona miejsce 14.IV. br. w ośrodku duszpasterstwa akademickiego „pod czworką” na Ostrowie Tumskim we Wrocławiu.

Drugi odczyt wygłoszony został przez nią 20.IV. br. na sesji Towarzystw Społeczno-Kulturalnych w Zielonej Górze i poświęcony był tradycji kulturowej Kresów Wschodnich na Dolnym Śląsku.

– Listopadowa Obrona Lwowa w 1918 roku i historia Cmentarza Orląt – prelekcję tę wygłosił red. Semper Fidelis dr. Z. Ojrzynski (w połowie marca br.) dla członków Łódzkiego Oddziału TMLiKPW. Prelekcja odbyła się w Domu Kultury przy bardzo wysokiej frekwencji.

II „Lwowskie Dni” we Wrocławiu

W dniach 23-24 VI odbędą się II „Lwowskie dni” w stolicy Dolnego Śląska.

Jak rok temu, na rynku u stóp średniowiecznego ratusza będzie koncertować orkiestra dęta MPK, której trzon do niedawna stanowili lwowscy tramwajarze. W kinie „Lwów” odbędzie się przegląd przedwojennych lwowskich filmów, a w Młodzieżowym Domu Kultury wystąpią młodzi wokaliści.

W dniu 23.VI br. dwa razy wystąpi populary „Kabaret Pacałycha” działający przy bytomskim Oddziale TMLiKPW – przed południem na estradzie na pl. Wolności, po południu z programem „Serce batiara” we wrocławskim teatrze Lalek. W drugim dniu „Lwowskich Dni” wystąpi Polski Teatr Ludowy ze Lwowa ze spektaklem „Randka z Hemarem”. Jak poinformował reżyser p. Z. Chrzanowski aktorzy z radością przyjęli zaproszenie. W programie jest jeszcze występ uroczego teatryku klasy 0

„Nona” (artyści mają po 6 lat) z Wrocławia, który zdobył 1-sze miejsce w IV Ogólnopolskim Dziecięcym Festiwalu Piosenki Lwowskiej w Lesznie. Organizatorami II „Lwowskich Dni” jest Wrocławski Oddz. TMLiKPW oraz klub „Leopolis”. Zainteresowani mogą uzyskać dodatkowe informacje telefonując na nr. 72-33-96 lub pisząc na adres: TMLiKPW Oddział Wrocławski, 50-072 Wrocław, ul. Włodkowica 8.

Dni Lwowa w Tarnowie

W dniach 9-15 VI br. odbędą się w Tarnowie „Dni Lwowa” organizowane przez tarnowski Oddz. TMLiKPW. Ramowy program przedstawia się następująco:

– 9.VI godz. 17 – Uroczyste otwarcie Dni – koncert inaguracyjny w Sali Lustrzanej Banku Przemysłowo-Handlowego.

– 10.VI godz. 17. – Otwarcie wystawy z Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie ilustrującej zabytki architektury XVIII i XIX wieku dawnego województwa ruskiego wraz z towarzyszącą sesją naukową o zabytkach i kulturze Ziemi Lwowskiej. Miejsce ekspozycji i sesji w Tarnowskim Centrum Kultury.

– 11.VI godz. 17. – Otwarcie wystawy „Powszechna Wystawa Krajowa we Lwowie w 1894 roku” w Bibliotece Miejskiej.

– 12.VI – Koncert zespołu „Wesoły Lwów” w IV Liceum Ogólnokształcącym o godz. 12-tej.

– 13.VI – Koncert zespołu „Wesoły Lwów” w I Liceum Ogólnokształcącym (powstórny później w Bochni) godz. 12.

– 14.VI – O godz. 9-tej Msza św. w kościele Najśw. Serca Pana Jezusa. O godz. 10 uroczyste nadanie imienia „Orląt Lwowskich” szkole podstawowej nr 9 w Tarnowie.

Z lwowską piosenką i humorem...

...przyjechały do Wrocławia w przededniu 3-Majowego Święta, na zaproszenie Klubu TML „Leopolis” – chór „Echo” Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej oraz Kapela „Wesoły Lwów”. Swoim występem uświetniły obchody tego, drogiemu każdemu Polakowi, majowego święta, w lwowskim wciąż licznym środowisku Wrocławia, a następnego dnia także Lubina i Legnicy. Kilkudziesięcioosobowy chór miłośników – amatorów pieśni polskiej



Chór „Echo” ze Lwowa. Na pierwszym planie jego twórca p. Władysław Łokietko.

„Echo” – ludzi różnych zawodów i emerytów lwowskich – powstał siedem lat temu. Jego założycielem i bez przerwy kierownikiem artystycznym oraz konferansjerem jest nieustrudzony prof. Władysław Łokietko, pedagog-polonista polskiej szkoły im. M. Konopnickiej we Lwowie. Nawiązał do pięknej tradycji lwowskiego chóru „Echo Macierz”, działającego nieprzerwanie od 1887 do września 1939 roku. Chór „Echo” TKPZL przygotował na dobrym poziomie muzycznym dzięki zapalowi i profesjonalnemu przygotowaniu jego kapelmistrzów: Edwarda Kuca i Bolesława Kurka – ok. 150 pieśni: patriotycznych, sakralnych, ludowych, żołnierskich i partyzanckich, no i oczywiście lwowskich. Występuje we Lwowie i innych większych skupiskach Polaków, w kościołach i na imprezach organizowanych przez Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Chór śpiewał także na Jasnej Górze, w kościele Mariackim, pod Ścianą Śmierci w oświęcimskim obozie zagłady i w innych miastach polskich. Po raz pierwszy przybył na Dolny Śląsk. Duża w tym zasługa Kombinatoru Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lubiniu.

Dla wrocławskich lwowiaków i kresowiaków chór przygotował zestaw pięknych pieśni polskich a capella: M. Gomółki, St. Moniuszki, F. Nowowiejskiego i innych. Na fortepianie akompaniowała p. W. Zielińska-Kuc. Również te znane i lubiane ze słowami M. Hemara, Z. Zbierzchowskiego, niezapomnianego Michotka, piosenki Władysław Majewskiej... Szczególnie pięknie zabrzmiały „Serce we Lwowie” oraz „Wierne Madonny” w wykonaniu chóru i solistki Ireny Kubickiej. Przeplatał je fragmentami prozy i poezji znanych polskich pisarzy i poetów – o ojczyźnie, Kresach, pięknym „Semper Fidelis” mieście – prof. Łokietko wspaniałą, kresową polszczyzną.

Długotrwałą owacją na stojąco podziękowali licznie przybyli na koncert lwowiacy i kresowiaci chórowi „Echo” za wzruszenie, jakiego im dostarczył ich występ.

W drugiej części koncertu na estradzie niepodzielnie panowały popularna piosenka, hu-



Kapela „Wesoły Lwów”

mor i taniec z lwowskich przedmieść, autentyczny batiański bałak i szpan w wykonaniu 7-dmio osobowej Kapeli „Wesoły Lwów”. Wodzirejem na scenie, głównym wykonawcą był Zbigniew Jarmińko – współzałożyciel tego zespołu przed czterema laty, długoletni znany i ceniony działacz TKPZL, stary batiar łyczakowski... W roli ciotki Bańdziuchowej wystąpiła znakomita Halina Pechaty. Żegnano ich śpiewając razem „Tylko we Lwowie...” Goście ze Lwowa poznali Wrocław z wieży katedralnej i zwiedzali jego zabytki. Podobało się im miasto, jego mieszkańcy. A wieczorem Muzeum Narodowe umożliwiło gościom obejrzenie kiedyś ich, teraz wspólnej, „Panoramy Racławickiej”.

Wrocławski chór „Harfa” we Lwowie

Danuta Krupska

Na zaproszenie Zarządu Głównego Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej i Oddziału tego Towarzystwa w Szczercu, Wrocławski Chór Męski „Harfa” odbył tournée do Lwowa i pobliskich okolic w dniach od 4 do 9 maja br.

Inspiracją do powstania w/w chóru była miłość do rodzinnego miasta oraz powrót do tradycji lwowskiego chóru „Harfa”. Swoje istnienie związał z Towarzystwem Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich i w styczniu 1989 roku rozpoczął działalność. Założycielem i pierwszym dyrygentem był pan Mieczysław Dziunka. Bogaty repertuar obejmujący polskie pieśni patriotyczne, religijne i inne, w tym ludowe, lwowskie i kresowe jest prezentowany często w czasie świąt narodowych, wszelkiego rodzaju rocznic jak i uroczystości kościelnych.

Prezesem zespołu chóralnego jest pan Edward Karpiński, obecnie dyrygentem jest pan Władysław Postępski.

W sobotę, 4 maja, deszczowa i chłodna aura nie nastrajała optymistycznie do dalekiej podróży, nocna awaria autokaru tuż pod Wrocławiem mogła zniechęcić nawet największych optymistów, ale nie zespołu chóralnego „Harfa”. Członkowie chóru to w większości lwowiacy, którzy jechali do swojego miasta po 50 latach rozłąki.

Z lwowskim humorem i pieśnią na ustach znieśli wyśmienicie trudy podróży, śpiewając po drodze poniższą piosenkę:

Czesław Makowiecki

Jedzi HARFA

(Śpiewać na melodię: W Stryjskim Parku na festyni)

Jedzi HARFA autokarym

Jagillońskim traktym starym

I du Lwowa ciongni tak

Jak du swegu gniazda ptak.

Jestyś czasym zamyślony

Co ci wzywa w tamty strony

I ni zatrzy tegu czas

To głymboku siedzi w nas.

Patrzysz z Zamku Wysukiegu

Blisku tuż i het ud niegu:

Panurama twojich snów

Śliczna tak, ży ni ma słów.

Oprócz Miasta ubglundania

HARFA inszy ma zadania

Nim wyjedzi z Lwowa bram

Da kuncerty tu i tam.

Uruczystuść wyjunktowa

Bedzi w Szczercu kulu Lwowa

Właśni tam przyd setku lat
Stasiu Maczyk ujrzał świat.

Uczcić pamińc gynyralla
Pragni HARFY wiara cała
Wienc zaśpiewa ładni coś
Bu był z niegu wielgi gość.

W Simianówcy jak przystału
Choć tam naszych tera mału
Kwatyrunyk bedzi fest
Tak furt byłu i tak jest.

(Uwaga: Zastosowano pisownię fonetyczną, nawiązując do gwary przedwojennej Siemianówki, bardzo zbliżonej do tzw. bałaku lwowskiego.

Stąd też „Maczyk”, a nie Maczek.)

Punktem docelowym była podlwowska wieś Siemianówka, która we wczesnych godzinach popołudniowych 5-tego maja powitała nas przepiękną, słoneczną pogodą i ciepłem serc jej mieszkańców.



Chór „Harfa” przed kościołem w Siemianówce.

Fot. Grzegorz Dudek

Zostaliśmy zakwaterowani w przyjaznych nam domach, nakarmieni wschodnimi potrawami i po krótkim odpoczynku nastąpił wyjazd do Lwowa.

Członkowie chóru, przystojni panowie, odświeżenie i galowo ubrani w eleganckich ciemnych garniturach z bordowymi muszkami, przechodząc przez wieś budzili podziw mieszkańców.

O godzinie 18-tej w niedzielę majową z chóru Katedry Lwowskiej popłynął przepiękny śpiew „Harfy”. Hymn Lwowa „Sliczna Gwiazdo Miasta Lwowa”, Gaude Mater Polonia, Sancta Maria i Nie rzucim Chryste świątyni Twych – przy wspaniałej akustyce w tej świątyni zrobiły wielkie wrażenie na wiernych, przybyłych tłumnie.

Po mszy św. odbył się koncert przy jednym z bocznych ołtarzy, w oczach otaczających nas słuchaczy widać było łzy wzruszenia.

Późnym wieczorem wróciliśmy na zasłużony nocleg do Siemianówki.

W dniach następnych nasi kantorzy koncertowali w kościele w Siemianówce, z osobnym śpiewem na dziedzińcu kościoła oraz w kościele św. Antoniego we Lwowie.

Odwiedzili cmentarz Łyczakowski, składając kwiaty i zapalając znicze na grobach sławnych Polaków, m.in. na grobie Marii Konopnickiej, Gabrieli Zapolskiej i Artura Grottgera.

Na Górcę – cmentarzyku Powstańców Styczniowych – oprócz kwiatów i zniczy były modlitwy i patriotyczne śpiewy.

Podobnie oddano hołd Orlętom Lwowskim.

Osobną atrakcją pobytu we Lwowie były występy „Harfy” w szkołach polskich: nr 24 im. Marii Konopnickiej i nr 10 im. Św. Marii Magdaleny. Dzieci polskie miały okazję wysłuchać „śpiewanej” historii Polski, a patriotyczna konferansjerka dyrygenta p. Władysława dodawała niebywałego uroku tym imprezom.

Dodać należy, że chór przygotował specjalnie na wyjazd do Lwowa liryczną piosenkę ukraińską o Dnieprze, w interpretacji polskiej. Większość ją zna jako „Rewe ta stohne Dnibr szirokij”. Koncert pieśni polskich kończył się właśnie tą dumką ukraińską, co przyjmowano z dużym aplauzem.

Nie samym śpiewem chór żył; były wędrowki po znanych zaułkach i placach, zwiedzano ważniejsze obiekty historyczne m.in. Politechnikę, wnętrza opery, kościoły i cerkwie. W kościele Św. Elżbiety, aktualnie remontowanym, ksiądz greko-katolicki z zainteresowaniem wysłuchał śpiewu „Harfy”.

Odbyło się również spotkanie z przedstawicielami władz TKPZL w ich siedzibie – Rynek 17.

Niezastąpionymi przewodnikami po mieście byli p. Eugeniusz Łampika i prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej p. Stanisław Czerkas.

Dnia 8 maja w Szczercu, wiosce oddalonej od Siemianówki ok. 7 km, chór „Harfa” uczestniczył w podniosłej uroczystości poświęcenia tablicy pamiątkowej ku czci generała Stanisława Maczka. Fundatorem tablicy był Oddział TKPZL w Szczercu, reprezentowany przez prezesa p. Mariana Wojciechowskiego.

Treść tablicy umieszczonej w kruchcie kościoła brzmi:

WIERNI PAMIĘCI
NIEZŁOMNEGO ŻOŁNIERZA
GENERAŁA STANISŁAWA MACZKA
SYNA ZIEMI LWOWSKIEJ

ur. 31 marca 1892 r w Szczercu

zm. 11 grudnia 1944 r. w Anglii

TEN ZNAK UMIEŚCILI RODACY

Lwów – Szczerec 8 maja 1996 r.

W erekcyjnym znaku pamięci generała Stanisława Maczka ogłoszonym w Szczercu 8 maja czytamy:

„Mieszkańcy Ziemi Lwowskiej na wieść o śmierci gen. Stanisława Maczka rodaka królewskiego Szczerca postanowili umieścić w miejscowym kościele znak pamięci, gdzie nadano Mu imię Stanisława, patrona kościoła, by ciągle przypominał postać szlachetnego żołnierza, wzór żywej wiary, wierności i honoru człowieka, Rycerza XX wieku.”

Uroczystość, o której mowa, zgromadziła mieszkańców Szczerca, Łanów, Siemianówki i innych okolicznych wiosek oraz Lwowa.

Oprócz członków zespołu Harfy i osób towarzyszących przybyli również przedstawiciele z Polski z Oddziału TML i KPW w Brzegu nad Odrą.

Mszę św. koncelebrowali księża: o. Ludwik Marko z Katedry Lwowskiej, o. Celestyn z Piotrowodskiej, o. Władysław z Kamionki Strumiłowej, o. Tomasz – proboszcz z Siemianówki, o. Władysław Lizuk i o. Walerian Skraba rodem z Siemianówki. Po mszy św. odbyła się uroczysta procesja wokół kościoła. W czasie mszy św. śpiewał chór Harfa.

Po uroczystościach kościelnych wszyscy zostali zaproszeni na przyjęcie do domu prezesa TKPZL, pana Władysława.

Wieczorem w Siemianówce zorganizowano pożegnalne ognisko, w którym uczestniczyli również mieszkańcy gościnnej wioski.

Następnego dnia, rano, żegnani przez mieszkańców wioski, pełni wrażeń, wspomnień i zadumy członkowie chóru odjechali w kierunku granicy, do Polski.

Jeszcze ostatni rzut oka na wspaniałe odbudowany kościół, górujący nad Siemianówką, który jest dumą tutejszych Polaków, na te zielone, przestrzenne łąki z wijącym się potokiem, przy którym przycupnęły żółte kaczęce i na kępy białych narcyzów przed każdym domem, których zapach przypomina nam wszystkim nasze dzieciństwo i młodość na tych terenach.

Bo, te białe narcyzy, te prawdziwe, nigdzie nie pachną tak pięknie jak tu na Wschodzie.

I ja tam byłam, mnóstwo wrażeń przeżyłam za co serdecznie, z całego serca „Harfie” dziękuję.

IV Ogólnopolski Dziecięcy Festiwal Piosenki Lwowskiej w Lesznie

Danuta Nespiak

W dniu 21 kwietnia br. odbył się w Lesznie już po raz 4-ty ten Festiwal, który dzięki konsekwencji i pracy p. Janusza Ragankiewicza, prezesa leszczyńskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich wszedł na stałe w krwioobieg kulturalny miasta.

Ale Wielkopolska z Małopolską Wschodnią spotkała się w Lesznie parę dziesiątków lat temu, kiedy expatriant ze Lwowa – i to z samego Łyczakowa

– w mieście sławnym tolerancją religijną, ratuszem i kościołami będącymi dziełem nadwornego architekta Leszczyńskich, rzymianina Pompeo Ferrariego, spotkał rodowitą Leszczyńską pannę Helenę. Została wkrótce jego żoną. Edukacja lwowska w domu Ragankiewiczów w Lesznie przybrała kształt konkretny, bo Wielkopolanie są praktyczni. Właśnie p. Helena podsunęła małżonkowi kilka lat temu pomysł zorganizowania takiego Festiwalu. Oczywiście – pomysł wymagał życzliwości i zgody władz miasta i pokrycia kosztów jego realizacji. Wszystkie te warunki zostały w Lesznie spełnione.

Festiwal ponadto prezentuje i uzmysławia – nie waham się tego nazwać po imieniu – palącą potrzebę edukacji historycznej młodzieży polskiej od półwiecza pozbawionej wiadomości i kontaktu z dorobkiem kultury Lwowa, bo przecież lwowska piosenka, ta z przedmieść i literacka, tak nośna i popularna do tej kultury należała.

Janusz Ragankiewicz do swoich lwowskich działań włączył dzieci i młodzież powyżej 15 lat bez różnicy czy pochodzi z wielkopolskiego Starego Bojanowa czy „lwowskiego” Wrocławia. W odróżnieniu od niektórych swoich kolegów z innych Oddziałów TMLiKPW w Polsce, prezes Towarzystwa w Lesznie nie zaangażował się w organizowanie partii kresowych, bo to nie jego powołanie. Działa świadomie w sferze lwowskiej edukacji dzieci i młodzieży właśnie w dziedzinie komunikatywnej, tej lwowskiej piosenki nieznanych autorów przedmieść, ale również tej literackiej, patriotycznej Zbierchowskiego, Hemara, Konarskiego. Działa tak, bo podobnie jak dr Jerzy Masior – prezes Oddziału TMLiKPW w Nowym Sączu uważa, że przejęcie pałeczki – przekaz dziedzictwa kulturalnego Lwowa i Kresów – należy realizować w pracy z młodzieżą. A czy poza wszelkimi naszymi uczuciowymi przesłankami działania nie stanowią pewnej zapyry przed destrukcyjną inwazją muzycznej subkultury made in USA? Napewno „zdrowsza” jest piosenka lwowska czy wileńska.

Organizatorami Festiwalu byli: Oddział leszczyński TMLiKPW, Kuratorium Oświaty, Wydział Kultury i Sportu Urzędu Wojewódzkiego i Miejskiego, Miejski Ośrodek Kultury i redakcja „Panoramy Leszczyńskiej”. Patronat nad imprezą objął wojewoda leszczyński pan mgr Z. Haupt.

Uczestnikami Festiwalu byli soliści i zespoły wokalne w grupach wiekowych od 6 do 15 lat i powyżej 15-tu (granica wieku 19 lat lub ukończenie szkoły). Do konkursu zgłosiło się ogółem 125 uczestników, w tym 14 solistów i 15 zespołów. Przyjechali z Bojanowa, Brzegu

n/Odrą, Częstochowy, Góry, Gorzowa, Legnicy, Naratowa, Oleśnicy, Wolsztyna, Wrocławia i Warszawy (nie licząc Leszna). Jury złożone z profesjonalistów miało sporo pracy. Przesłuchania trwały od 8-mej rano, a koncert laureatów odbył się o godz. 15-tej przy pełnej sali, dla licznych widzów zabrakło miejsc i wysłuchali koncertu stojąc. Rywalizowano w 4 kategoriach – soliści i zespoły do lat 15-tu oraz powyżej 15-tu. Jury wyróżniło również instruktorów (pp. J. Kubiaka z Góry, Z. Michalskiego z Wrocławia, A. Stawickiego z Warszawy i K. Klosia z Częstochowy), którzy włożyli wiele serca i pracy w przygotowaniu młodzieży do startu w konkursie. Rewelacyjny okazał się teatrzyk klasy „0” działający przy Towarzystwie Przyjaciół Dzieci Artystycznie Uzdolnionych „Nona” z Wrocławia. Uroczę 6-latkę dziewczynki i chłopcy bardzo muzyczni i uzdolnieni ruchowo wywołali istną burzę oklasków za wykonanie z dziecięcym lwowskim akcentem piosenki „Placmuzyka kiedy gra”. Otrzymali 1-szą nagrodę w grupie zespołów do lat 15-tu. Materialną stroną nagrody dla utalentowanych maluchów były: puchar, dyplom a dla każdego lizak i aparat fotograficzny. Natomiast w kategorii solistów do 15-tu lat 1-szą nagrodę otrzymała uczennica szkoły podstawowej nr 328 w Warszawie Katarzyna Rzymska. Drugą nagrodę – solistka również z Warszawy, ale z lwowskimi korzeniami (wnuczka p. J. Ragankiewicza) Agata Kuśmierk, uczennica szkoły podstawowej nr 150. Po poruszającej kresowej piosence Fe-



Agata Kuśmierk – zdobywczyni II nagrody (w kategorii solistów do 15 lat) IV Ogólnopolskiego Dziecięcego Festiwalu Piosenki Lwowskiej w Lesznie, uczennica szkoły podstawowej nr. 150 w Warszawie.

liksa Konarskiego „Już mi raz zabrali Wilno”, już mi raz zabrali Lwów” zaśpiewała „Krajobrazy serdeczne” Witolda Szolginia, do których sama skomponowała muzykę. Nie sposób wymienić wszystkich nagrodzonych, wśród których aż troje solistów zaprezentowało Dom Kultury w Górze (Anna Charukiewicz, Marta Lachowicz, Alicja Kubiak). Wśród zespołów – „Klaster” z M.D.K. Gorzów otrzymał 1-szą nagrodę w kategorii powyżej 15 lat, zespół

„Volstinella” z D.K. Wolsztyn – drugą nagrodę „Biedronki” z Klubu Garnizonowego w Brzegu n/Odrą – trzecią nagrodę – te oba zespoły w kategorii do 15 lat. Po raz pierwszy wręczono również nagrodę im. Heleny Ragankiewicz dla najmłodszego uczestnika Festiwalu – 5-cio letniej Agnieszki Guzek z Wrocławia, która otrzymała organy elektroniczne ufundowane przez rodzinę nieżyjącej już pomysłodawczyni Festiwalu. Zwycięzcy otrzymali puchary, dyplomy i cenne nagrody ufundowane przez firmy i osoby prywatne. Janusz Ragankiewicz, organizator Festiwalu i prezes leszczyńskiego Oddziału

TMLiKPW rzecz całą skwitował słowami: jestem Lwowiakiem z Łyczakowa, ale też Leszczynianinem. Mieszkam w tym mieście tyle lat i ciągle je podziwiam. W Lesznie, tak jak nigdzie w Polsce, biją gorące serca dla Lwowa. Na słowo

„Lwów” otwierają się wszystkie drzwi i kieszenie. Ludzie, najczęściej Wielkopolanie z dziada pradziada pomagają finansowo w organizacji festiwalu

– wojewoda, prezydent, kurator i wielu, wielu innych. Serdecznie im wszystkim dziękuję lwowskim: ta daj Boży zdrowi! I do zobaczenia za rok.

Nasi czytelnicy piszą

Do redakcji S.F. nadszedł list podpisany przez kawalera srebrnego krzyża VM Seniora żołnierzy AK Pana płk. w st. sp. Włodzimierza Białoszewicza ps. Wiktor, Dan. Pan Pułkownik od 1923 r. służył ofiarnie Ojczyźnie, będąc kilkakrotnie rannym w kampanii wrześniowej. W czasie II wojny światowej czynny w Służbie Zwycięstwu Polski (SZP), w ZWZ, w AK we Lwowie, następnie w RO-AK w okolicach Rzeszowa i w Stowarzyszeniu Wolność i Niezawisłość w Jeleniej Górze, gdzie został aresztowany 16 czerwca 1946 r. i więziony we Wronkach i Potulicach do 1954 r.

„Szanowna Redakcjo!

Od dwóch lat na łamach Waszego pisma toczy się dyskusja między b. żołnierzami AK i NOW, która w zasadzie nie przynosi nikomu chwały w sprawie szerzenia prawdy. Wywody są żerem dla wrogów Polski zarówno w kraju jak i zagranicą i stanowią podstawę do podrywania prawdy o Lwowskiej AK w walce o niepodległy byt państwa polskiego. Kto za tym stoi i komu na tym zależy by podważyć autorytety naukowe w Polsce i zagranicą?

Tak się złożyło, że jestem jednym z żyjących najstarszych członków Lwowskiej AK, liczę 94 lata. Od września 1939 roku do końca lipca 1944 roku byłem w lwowskiej konspiracji: SZP-ZWZ-AK, d-cą Baonu, komendantem Dzielnicy Lwów-Zachód do 1942 roku, komendantem Dzielnicy Lwów-Wschód do końca lipca 1944 roku. W oddziałach RO-AK „Warta” za Sanem d-cą Baonu „D”, a od sierpnia 1945 roku w WiN – Eksterytorialnym Podokręgu Lwów na Dolnym Śląsku w Jeleniej Górze. Sekretarzem WiN byłem do 16.VI.1946 roku tj. do czasu mego

aresztowania przez U.B.P. Znałem prawie wszystkich: śp. płk. Jana Sokolowskiego „Traskę”. Dość dobrze znałem mojego przełożonego wyższego szczebla we Lwowie do 1941 roku płk. Emila Macielińskiego „Kornela”, „Reya”, ppor. cz. w. Jerzego Węgierskiego „Antka”, który był moim podwładnym i komendantem Regionu IV Wiejskiego-Winniki, d-cą szwadronu 14. p. AK. Znałem również ppor. cz. w. Wojciecha Myślenickiego, red. Władysława Śledzińskiego („Nemo”, „Dawid”) z okresu, gdy był w Oddz. „Warta” i WiN, który jako redaktor prowadził kolportaż „Wolność i Niezawisłość”. Śledziński uniknął aresztowania, gdyż miał zmienione nazwisko. Bronisława Szeremetę poznałem nieco później, bo w latach 70-tych, już po jego powrocie do kraju z zsyłki w ZSRR.

Z prowadzonych dyskusji odnośnie płk. J. Sokolowskiego i płk. E. Macielińskiego na podstawie książki prof. J. Węgierskiego „Lwów pod okupacją sowiecką 1939-1941 r.” osobiście nie sędzę, by śp. płk. E. Macieliński był winien zdrady i współpracował z NKWD. Gdyby tak było, to i ja byłbym we Lwowie aresztowany w latach 1939-1945. Nie można sądzić człowieka na podstawie poszlak bez udowodnienia mu winy. Sprawa płk. E. Macielińskiego szyta była grubą nicią przez wywiad NKWD we Lwowie i w Warszawie.

Była to prowokacja ze strony NKWD i jej współpracowników – oficerów AK – por. Goli, por. Marcyniuka, kapitana Metzgera i in. w celu ugodzenia w system konspiracyjny ZWZ i AK III Obszaru Lwowskiego, pośrednio i Komendę Główną AK w Warszawie. Obecnie

jest możliwość dokładnego sprawdzenia tego wszystkiego co jest przedmiotem sporu, nie tylko w archiwach UBP czy KC PZPR w Warszawie, ale w archiwum NKWD Ukrainy, pl. Zjednoczenia 7 we Lwowie.

Prowadzenie dyskusji i sporów bez dokumentacji nie ma sensu. Apeluję do redakcji Semper Fidelis o zaniechanie publikacji tego typu nie wyjaśnionych do końca spraw dla dobra Lwowskiej AK.

Włodzimierz Białoszewicz płk AK”

Od redakcji:

Przy całym naszym szacunku dla osoby pana płk. Wł. Białoszewicza zwracamy uwagę na fakt, że nie zajmowaliśmy żadnego stanowiska w sprawie sporu wokół płk. E. Macielińskiego. Uważamy, że obie strony biorące udział w tej dyskusji powinny mieć udostępnione łamy Semper Fidelis. Listów w tej właśnie sprawie przychodzi sporo, czasem dołączona jest dokumentacja. Nie publikując niczego narazimy się na zarzut lekceważenia tych głosów. Publikując wypowiedzi tylko jednej ze stron, narażamy się na zarzut stronniczości, nie dopuszczając do wyrażenia innych opinii. Nie udostępnianie łamów naszego pisma dla problemu tak ważnego, jakim była działalność AK III Obszaru Lwowskiego, wyrządziłoby szkodę w tym sensie, że z pola badawczego historyków eliminowani zostali by świadkowie historii.

Pan płk Wł. Białoszewicz oraz Ci wszyscy z państwa, którzy zechcą w tych sprawach zabrać głos, obojętnie którą stronę sporu reprezentują, znajdą miejsca na naszych łamach.

OD REDAKCJI

● Pan Stanisław Flakiewicz, Łódź. Dziękujemy za tak miły list i przysłane materiały informacyjne, które są b. przydatne w pracy redakcyjnej. Prosimy o dalsze odbitki ksero z przedwojennej prasy lwowskiej. Cieszymy się, że Semper Fidelis interesuje młodych ludzi.

● Pan Henryk Agopsowicz, Olsztyn. Podzielamy również pańskie uznanie za trud i wysiłek, których nie szczędziło grono bezinteresownych i szlachetnych ludzi, by godnie uczcić miejsce spoczynku ś.p. Jerzego Horwatha, lwowskiego harcerza, kadeta, żołnierza AK.

● Pani Maria Komornicka, Milwaukee USA. Staramy się w miarę możliwości informować naszych czytelników o dzisiejszym Lwowie. Pisz Pani, że:

„radalaby wiedzieć, jak wygląda teren za torem kolejowym w kierunku na Kozielniki i las Zubrzycki. Stał tam kiedyś pomnik Obrońców Lwowa, postawiony staraniem Komitetu Straży Mogił Polskich...Pomnik stał na terenie podarowanym przez śp. mego ojca i chyba go Ukraińcy zburzyli”. Dziękujemy serdecznie za miłe słowa uznania dla „Semper Fidelis”.

● Pani Zofia Adel, Gdańsk. Prosimy uprzejmie o przysłanie Pani wspomnień z okresu okupacji Lwowa nagrodzonych kilka lat temu na konkursie ZNP.

● Pani Alicja Michałowska, Kraśnik. Z przyjemnością spełniamy Pani prośbę i przysyłamy czek na prenumeratę Semper Fidelis. Proszę również przysłać wspomnienia z Kazachstanu z możliwie wyczerpu-

jącymi danymi: z której ulicy 13.IV.1940 r. NKWD zabrało Panią z rodziną, nazwiska rodzin polskich, z którymi Panią transportowano na miejsce zsyłki, warunki, ludzie itp. Jeżeli chodzi o wiersze, to redakcja otrzymuje ich b. dużo i na razie nie skorzystamy.

● Pan Roman Krzyśków, Warszawa. Nie możemy zrealizować pańskiego pomysłu, by wydać kolorowe herby miast Kresów Płd-Wsch. Poszukiwania źródłowe herbów red. Z. Ojrzynskiego nie przyniosły większych rezultatów – braki są nawet w bibliotece Zakł. Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.

● Pan Konrad Sura, Kraków. Pański artykuł pt. „Lwowskie Słowo Polskie” w latach 1943-1946 został już wydrukowany w nr. 2(31)96 Semper Fidelis. Zgodnie z życzeniem podajemy Pańską korektę dotyczącą drobnych uzupełnień w tym artykule. Oto one:

na str.3 przy dacie aresztowania Stanisława Buryły powinno być: „w kotle u Jadwigi Flasińskiej, siostry Magdaleny Lukasówny” lub skreślić ją.

– przy dacie aresztowania Kazimierza Dunajewskiego dodać „lub wcześniej”. Jan Wojdyła, który przejął redakcję po Dunajewskim stwierdza, że prowadził ją około 3 miesięcy, a więc Dunajewski musiał być aresztowany wcześniej.

● Pan Adam Wartalski, Warszawa. Prosimy uprzejmie o przysłanie następujących opracowań: Belz, Bołszowce, Brody. Bardzo pożądane były by zdjęcia, względnie pocztówki z widokami zabytków tych miejscowości. Dziękuję-

my za przysłany i wykorzystany w tym numerze S.F. Jazłowiec.

● Pan Leszek Szulc, Warszawa. Prosimy uprzejmie o przysłanie nam materiałów, o których wspomina Pan w swoim liście.

● Pani Janina Hrycekowa, Katowice. Dziękujemy Pani w imieniu potrzebujących za przesłanie sumy 50 zł. na odbudowę kościoła w Przemyslanach. Proszę również przesłać nam zdjęcie ks. Stanisza, proboszcza tego kościoła wraz z jego życiorysem przed i po 1939 roku.

● Pan Stanisław Klimpel, Warszawa. W swoim liście podał Pan uzupełnienia do artykułu ks. J. Wołczańskiego dot. arcybiskupa metropolity lwowskiego B. Twardowskiego. Arcybiskup zdał maturę w 1882 r. w gimnazjum im. Jana Długosza we Lwowie, którego zresztą jest Pan absolwentem. Imię i nazwisko arcybiskupa figuruje w Księdze Pamiątkowej 50-lecia tego gimnazjum, które wypadało w 1928 roku. Proszę też mieć cierpliwość, bo materiały o które Panu chodzi są jeszcze nie rozpakowane po licznych przeprowadzkach.

● Wszystkim czytelnikom, którzy przysłali nam życzenia Wielkanocne i słowa uznania dla Semper Fidelis redakcja serdecznie dziękuje. Specjalne podziękowania składamy Paniom z polskiego przedszkola we Lwowie.

Od red. Zwracamy się do p. Ryszarda Ruszla, autora pracy pt. „Radziostacja Obszaru AK Lwów zamikła” Gliwice 1994, z uprzejmą prośbą, by zechciał nawiązać kontakt z naszą redakcją w sprawie działalności w AK kapitana Mieczysława Lipy z Kędzierzyna-Koźla. Sprawa pilna.

SOS dla kościoła w Husiatynie

Henryk Antoni Hrankowski
Warszawa

Kiedy dojeżdżało się do kresowego miasta – Husiatyna, otoczonego z trzech stron Zbruczem, z daleka była widoczna piękna sylwetka kościoła Bernardynów. Jego dzieje były tak burzliwe, jak całego Podola. W 1610 r. Walenty Aleksander Kalinowski, generalny starosta podolski, przekazał zakonowi wybudowany przez siebie drewniany klasztor i kościół, wystawia-

jąc akt fundacyjny i wyznaczając ordynarię dla 6-ciu zakonników.

Wobec stałego zagrożenia ze strony Tatarów, Turków i Kozaków, niezwłocznie przystąpiono do budowy obronnego kościoła i klasztoru murewanego. Budowę ukończył w 1625 r. syn fundatora – Marcin Kalinowski, hetman polny koronny. Świątynia pod wezwaniem Narodzenia

NMP, wzniesiona w stylu barokowym, była trzynawowa o układzie bazylikowym (nawa środkowa wyższa od bocznych, każda kryta osobnym dachem), z ozdobną fasadą i dekoracją w postaci fryzu doryckiego, którego fragmenty zachowały się na elewacji zewnętrznej. Miała pięć ołtarzy. W głównym znajdował się obraz Matki Boskiej szkoły włoskiej, dar rodziny Kalinowskich. Obok świątyni postawiono barokową figurę Matki Boskiej. Kościół i przylegający do niego klasztor otoczono murem z otworami strzelniczymi i wieżyczkami strażniczymi.

W 1648 r. Kozacy ograbili i częściowo zniszczyli obie budowle. Obraz ocalał, ponieważ przed napadem pieczę nad nim powierzono Urszuli Kalinowskiej. Częste najazdy zmusiły zakonników w 1660 r. do opuszczenia Husiatyna. Powrócili w 1690 r. i zastali klasztor i kościół w ruinie, bez fasady i sklepienia. Zebranie odpowiednich funduszy, jak i sama odbudowa trwały dość długo, bo aż do 1728 r. Klasztor odzyskał tytuł konwentu, a do kościoła wrócił obraz Matki Boskiej Husiatyńskiej. Ojcowie pełnili obowiązki duszpasterskie, ponieważ w mieście nie było kościoła parafialnego ani duchowieństwa świeckiego.

W wyniku pierwszego rozbioru Husiatyn znalazł się w zaborze austriackim jako miasto graniczne z Rosją. Dekretem cesarza Józefa II z 1788 r. klasztor przeznaczono do kasaty i bernardyni musieli przenieść się do innej miejscowości. Kościół zamieniono na parafialny, klasztor na plebanie, a działalność duszpasterską przejęli księża z diecezji lwowskiej. Już w tym czasie wielką cieżką cieszył się obraz św. Antoniego Padewskiego, nieznanego pochodzenia, umieszczony w bocznym ołtarzu w lewej nawie. Dowodem tego były liczne wota, ufundowana srebrna sukienka i rzesze pielgrzymów w dniu odpustu 13 czerwca. Działania wojenne w latach 1914-1920, prowadzone ze zmiennym szczęściem, spowodowały duże zniszczenia miasta. Nie ominęły one świątyni i klasztoru, dlatego powołano komitet odbudowy, którego honorowymi protektorami zostali marszałek Edward Rydz-Śmigły, arcybiskup lwowski Bolesław Twardowski i wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski. Kościół i klasztor zostały zwrócone bernardynom 15.VIII.1938 r. wraz z oddaniem administracji parafii. Gwardianem został Piotr Wilk-Witosławski, zastępcą Bolesław Wołyniak, a katechetą Tytus Sokół. Ojcowie prowadzili również pracę duszpasterską w kościołach filialnych oraz naukę religii w szkołach w pobliskich miejscowościach: w Czabarówce i w Olchowczyku.

Po drugiej wojnie światowej wysiedlono z Kresów Wschodnich ludność polską i bernardyni wyjechali z Husiatyna, zabierając do Alwernii k/Krakowa cudowny obraz św. Antoniego, który po wielu latach starań byłych parafian zamieszka-



Kościół w Husiatynie

łych w Obornikach Śląskich, znalazł stałe miejsce w ich obecnym kościele. Zamknięty w 1946 r. kościół w Husiatynie ulegał systematycznemu niszczeniu. Mur obronny i dzwonnice rozebrano, ogród bernardyński zamieniono na boisko sportowe, pomieszczenia klasztorne przerobiono na mieszkania, usunięto figurę Matki Boskiej, zbudowano szalet publiczny na terenie przykościelnym od strony ołtarza głównego, a świątynię otoczono garażami i zasłonięto budynkiem magazynu towarowego. Kiedy zawalił się dach kościoła, przeprowadzono remont. Wyburzono górną partię muru nawy środkowej do poziomu naw bocznych i wszystkie nawy przykryto wspólnym dachem dwuspadowym, co spowodowało obniżenie bryły kościoła. Dostosowując szczyty fasad do nowego dachu, nadano im styl pseudogotycki. Jedyne szczyt ściany prezbiterium zachował oryginalną barokową formę. Nie brak śladów celowego niszczenia zabytku: zatarta tablica z inkskrypcjami na fasadzie, odkuta znaczna część herbu Kalinowskich, w prezbiterium porozbijane figury. Po upadku komunizmu świątynię zwrócono wiernym w opłakanym stanie. Nie pozostało śladu po bogatym wystroju i wyposażeniu: ołtarzach, stallach, ambonie, chórze, organach, ławkach, konfesjonalach. Oddanie klasztoru uzależniono od praktycznie niemożliwego do spełnienia warunku zapewnienia mieszkań dla czterech rodzin. Wierni po kierunku ojców bernardynów dojeżdżających ze Zbaraża rozpoczęli odbudowę od wywieżenia z kościoła wielu ton gruzu i śmieci, zabezpieczenia i uszczelnienia dachu, osuszenia ścian. Z pomocą pospieszili im byli parafianie z Husiatyna i z okolicznych miejscowości (a w szczególności z Czabarówki) mieszkający w Polsce. Z zebranych składek zakupiono szaty i naczynia liturgiczne, wykonano kopię obrazu św. Antoniego oraz udzielono wsparcia finanso-

wego. Ponowna konsekracja kościoła nastąpiła 24.XI.1990 roku.

W sierpniu ub. roku odwiedziłem Husiatyn po 50 latach i byłem na mszy św. w kościele, w którym moi rodzice brali ślub. Duszpasterstwo sprawuje obecnie Ojciec Longin Koloczek, wspaniały kapłan i organizator, który przeprowadza stopniowo remont generalny, zabiega o uzyskanie zgody na budowę skromnego klasztoru dla trzech zakonników (reguła zakonu), dzwonnicy, jak również planuje wydobyć zakopanych w czasie wojny 2 dzwonów. To wszystko wymaga odpowiednich funduszy. Tymczasem miejscowi wierni, przeważnie

ludzie starsi, są biedni i znajdują się w skrajnie trudnych warunkach materialnych. Dlatego pozwalam sobie zwrócić się z gorącym apelem o pomoc w odbudowie zabytkowego kościoła. Liczy się każda, choćby najskromniejsza ofiara. Uprasza się o dokonywanie wpłat na konto:

Prowincjałat OO. Bernardynów
31-069 Kraków, ul. Bernardyńska 2
Bank Przemysłowo-Handlowy
VI/O Kraków
323431-94041-136

z dopiskiem: „Na odbudowę kościoła w Husiatynie”.

Informacja

W dniu 27.04.96 r. w Tarnobrzegu w parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy – odbyło się zebranie Makroregionu Południowo-Wschodniego TMLiKPW. Spotkanie Prezesów Oddziałów i Klubów przebiegało w miłej i serecznej atmosferze. Omówiono dotychczasową działalność i kierunki rozwoju na najbliższy okres. W zebraniu uczestniczył Prezes Zarządu Głównego TMLiKPW Andrzej Kaminski. Zebraniu przewodniczył Prezes Oddziału w Tarnowie Adam Lewicki. Obradujących zaszczycił gosodarz Parafii ks. Prałat Michał Józefczyk. Brak na zebraniu przedstawicieli z Przemyśla komplikował sprawy, ponieważ plany pomocy na Wschód są związane z tym Oddziałem. Miłym zaskoczeniem była obecność członków Zarządu Oddziału z Lublina z Prezesem prof. Stażką na czele, co wzmacnia działanie tego Makroregionu. Sposób i forma oraz przebieg zebrania sprawiły, że z nadzieją należy patrzeć na dalszy rozwój naszego Towarzystwa. (Inf. własna)

Apele

● Wobec „nikczemności czasów” w jakich przychodzi nam dokonać żywota w Polsce pozostał nam jeden skarb na codzień – nasz dowcip i satyra rodem ze Lwowa, rozpowszechnione i niestety rozproszone w Polsce i na całym świecie wraz z Lwowiakami. 50 lat humoru lwowskiego na „wygnaniu” zasługuje w pełni na opracowanie, gdyż brak jest w naszej kresowej literaturze pozycji, która objęłaby powojenną twórczość „humorystów” przebywających na Zachodzie jak M. Hemar, W. Budzyński, a w kraju J. Michotek, A. Waligórski, W. Dzieduszycki, J. Wasylkowski, J. Obuch.

Proponuję zbiorowe opracowanie pt. „Księga pielgrzymstwa lwowskiego humoru 1939-1989”.

Dzieło takie należałoby ukończyć rychło kiedy jeszcze żyją na emigracji i w kraju naoczni świadkowie tej niepowtarzalnej twórczości i tamtych czasów.

Podejmuję się koordynacji całości i zredagowania wspólnego maszynopisu. Zainteresowanych tą problematyką proszę o kontakt.

dr Tadeusz Krzyżewski

31-944 Kraków, os. Spółdzielcze 14/48, tel. 44-60-89

(Redakcja Semper Fidelis popiera pomysł p. dr. Krzyżewskiego)

● Dr Jerzy Masior nadesłał do redakcji Semper Fidelis zbiór złożony ze 125 wierszy poświęconych Kresom pt. „Nastłonecznienie-wiersze kresowe” Zbiór ten doczekał się kilku pochlebnych recenzji znawców przedmiotu. Wydanie tego zbioru wobec obecnej sytuacji finansowej Fundacji Kresowej Semper Fidelis nie jest możliwe. Proponujemy zatem wszystkim zainteresowanym tą poezją by wzięli udział w proponowanej przez nas subskrypcji wpłacając dowolne kwoty na konto Fundacji Kresowej Semper Fidelis z dopiskiem: „Wiersze J. Masiora”.

● Wydana została pośmiertnie książka „TEN STARY LWÓW” (autor dr Jerzy Berzowski). Wg informacji wydawcy, który ustalił koszt 1 egz. książki na 6,00 zł – książkę można zamawiać wpłacając odpowiednią kwotę na konto:

Zakład Wydawnictw i Usług Prawniczych Sp-ka „JURYSTA” w Warszawie, (kod poczt. 00-028) ul. Bracka 20a

Nr rachunku: 370015-2033

W P. Banku Kredytowym III O/Warszawa

Książkę rozprowadza wydawca – nie ma jej w księgarniach.

Contents

- | | |
|--|--|
| <p>p.1 Danuta Nespiak – On "the absence of Poles in Lwów until 1918" according to Yuri Andrykhovytch (Andruchowycz).</p> <p>p.3 Jerzy Masior – Old-time school years in Lwów, where now most lonely Poles are awaiting us.</p> <p>p.5 Władysław Śledziński – To some people their activity in the Home Army became a scale-ladder to later careers in the Polish People's Republic.</p> <p>p.10 Janina Nuckowska – Poems from the Soviet forced labour camps written on scraps of paper.</p> <p>p.10 Bożena Zawirska – Recollection of the Marshal E. Rydz-Śmigły grammar-school at Brzeżany.</p> <p>p.13 Czesław E. Blicharski – The Autor, an outstanding expert in history of the Tarnopol District, rectifies the war history of scouting in that region.</p> <p>p.16 Grzegorz Hryciuk – The purpose served by "Gazeta Lwowska" ("Lwów News") during German occupation in the years 1941-1944.</p> <p>p.19 Andrzej Plęś – New frontier of Europe in the East.</p> <p>p.21 Adam Wartalski – Jazłowiec – tragic histo-</p> | <p>ry of the town bound up with the cloister, celebrated school of the Immaculate Conception Sisters and 14th Regiment of the Jazłowiec Uhlans.</p> <p>p.26 Henryk Ogonowski – Vicissitudes of the Podolian village Czabarówka during World War II.</p> <p>p.30 Józef Wołczański – From the history of Lwów medicine - professor Szymonowicz, an outstanding histologist.</p> <p>p.34 From the ancient Lwów press – description of the City of 1835.</p> <p>p.36 Zbigniew Umański – Activity of Sections and Clubs of the Lwów and South-East Borderland Lovers Society.</p> <p>p.38 Danuta Krupska – Performances of the Wrocław choir "Harfa" in Lwów.</p> <p>p.40 Danuta Nespiak – IVth All-Polish Children's Festival of Lwów Songs at Leszno.</p> <p>p.41 Col. Włodzimierz Białoszewicz's reflections and remarks concerning the case of col. Emil Macieliński.</p> <p>p.42 Letters and replies of the Editorial Board.</p> <p>p.42 Henryk Antoni Hrankowski – For assistance in reconstruction of the church at Husiatyn.</p> <p>p.44 Appeals and information.</p> |
|--|--|

Wydawnictwo HEROLDIUM

poleca reprint unikalnego dzieła w XV tomach:

Seweryn hr. Uruski

„RODZINA. HERBARZ SZLACHTY POLSKIEJ”

Jeden z najcenniejszych współczesnych polskich herbarzy.

Drukowany w latach 1904 i następnych. Oryginał dziś niezwykle rzadki w komplecie. Informacje o rodzinach szlacheckich (w tym nobilitowanych),

niektórych mieszczańskich, opisy herbów, dane biograficzne.

Pomocny w poszukiwaniach genealogicznych, identyfikacji rodzin i majątków.

Dotychczas wydano:

I – Abakanowicz – Broniewicz

II – Broniewski – Czekoński

III – Czeladka – Eywild

IV – Fabecki – Groer

V – Groffe – Jarzyński

VI – Jasiecki – Kliński

VII – Klisz – Koźmiński (w druku)

Każdy tom ok. 400 str., format 17x25 cm, oprawa twarda, cena za tom 33.00 zł. Zamówienia wyłącznie na całość I-XV. Przesyłamy za zaliczeniem pocztowym tomy już wydane tzn. I-VI (198.00 zł). Następne w miarę ukazywania się tj. co ok. dwa miesiące.

Wydawnictwo HEROLDIUM

Os. Rusa 74/2, 61-245 Poznań, tel. (0-61) 76-98-45

PKO B.P. I/O Poznań 63513-737645-136

Lista ofiarodawców w m-cach III-IV 1996 r.

1. Adam Pobóg-Spolski – 29525 Melzen, RFN	30.–	26. L. J. Banierowie – Szczecinek. Na odbud. cment.	
2. Aleksander Gawęł – Kluczbork	5.–	Orląt Lwowskich	50.–
3. Edward Adles – Kraków	10.–	27. Helena Niwińska – Kraków	50.–
4. Stanisław Duch – Lublin	11.–	28. Z. F. Krzyżków – Bytom	30.–
5. Zbigniew Lechowski – Wschowa	4.–	29. Roman, Alfred L. Orłowski – Dębica. Na odbud.	
6. Wacław Ryka – Warszawa	15.–	cment. Orląt Lwowskich	20.–
7. Bronisław Kowalkowski – Krosno	20.–	30. Tadeusz Świątnicki – Przemyśl. Na odbud. cment.	
8. Władysław Mierziak – Przemyśl-Ostrów	12.–	Orląt Lwowskich	15.–
9. Władysław Dylński – Bystra Śląska	25.–	31. Henryk Karski – Oława	100.–
10. Władysław Nowicki – Kozuchów	4.–	32. Krystyna Kierska – Orleans – Francja	45,75.–
11. Stanisław Tarnowski – Poznań	20.–	33. Bogusław Mądrzak – Krotoszyn. – Kościół w Prze-	
12. Bronisław Ostowski	10.–	myślanach	50.–
13. TMLiKPW Oddz. Koszalin. Pomoc świąteczna dla		34. Wanda Kobylawska – Szlichtyngowa	50.–
Polaków na Wschodzie	65.–	35. Stanisław Piela – Rzeszów. – Kościół w Przemy-	
14. Anna Wójcik – Toruń	12.–	ślanach	20.–
15. Bogusław Tendaj – Lublin	10.–	36. Józef, Joanna Starzecy – Wrocław	20.–
16. Józef Bienko – Stalowa Wola	40.–	37. Maria Żurowska-Gangi – Toruń	10.–
17. Andrzej Hanuszewski – Pyskowice	70.–	38. Zygmunt Dąbrowski – Przemyśl. Kościół w Prze-	
18. TMLiKPW Oddz. Szczecinek	50.–	myślanach	50.–
19. Władysław Klimek – Bielsko-Biała	8.–	39. Aniela Sowińska – Miodnica	50.–
20. Jerzy Wolańczyk – Rokietnica	50.–	40. TMLiKPW – Kędzierzyn-Koźle	50.–
21. Wanda Klimowicz – Szczawnica	20.–	41. TMLiKPW – Gdańsk. Oddz. im. Króla Jana III	100.–
22. Stanisław Mossoczy – Bielsko Biała	40.–	42. TMLiKPW – Oddz. Gniezno	100.–
23. Wojciech Spólnik – Jasło	25.–	43. TMLiKPW – Oddz. Poznań	100.–
24. W. A. Podolecy – Kielce	20.–	44. Józef Wojciechowski – Legnica	10.–
25. Andrzej Niesiołowski – Warszawa	48,40.–		

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania.

OD WYDAWCY

- Wszystkim Państwu, którzy przystali życzenia wielkanocne składamy serdeczne podziękowania i zapewnienia, że Ich życzliwe słowa są nam bardzo pomocne w pracy.
- Ponawiamy nasz apel o samochód typu „Bus”, który tak bardzo jest potrzebny w pracy Fundacji. Jego posiadanie przyczyniłoby się do wzmożenia akcji pomocy na rzecz Polaków pozostałych za wschodnią granicą. Pomogłoby to również w pracach wydawniczo-kolporterskich Fundacji. Datki na ten cel wpłynęły już od nielicznych osób, a nawet od organizacji polonijnej o pokrewnej nazwie „Semper Fidelis” z USA której składamy stokrotne dzięki. Niestety wszystko to jest niewystarczające. Przekazana suma mogłaby jedynie pokryć koszty cła, gdyby nasi rodacy w Ameryce i Kanadzie chcieli wysłać nam używanego „Busa” np. kontenerem do portu niemieckiego. Uzyskaliśmy informację, że taka droga jest najbardziej ekonomiczna w dostarczaniu do Polski samochodu. Wierzymy, że z czasem nasze apele trafią do ludzi rozumiejących ciężkie warunki w jakich pozostają Polacy na Wschodzie. Pomoc dla nich rozbija się u nas właśnie o brak transportu, który teraz niejednokrotnie przekracza wartość przewożonych rzeczy. Cierpliwie czekamy nadal!
- Można w dalszym ciągu wpłacać na prenumeraty roczne:
 - dwumiesięcznik „Semper Fidelis” 18,- zł.
 - dwutygodnik „Gazeta Lwowska” 15,- zł.
 - dwutygodnik „Dziennik Kijowski” 15,- zł.
- Wcześniejsze numery od początku bieżącego roku prześlemy po wpłacie na nasze konto w banku PKO IV Wrocław Nr 93549-10012-132-3.
- Jak wszędzie, podstawą utrzymania pisma są reklamy. Zachęcamy więc gorąco do korzystania z naszych łam! Apelujemy do Czytelników i Sympatyków, ogłaszajcie się u nas! Reklamujcie swoją działalność! Pomóżcie sobie i nam!